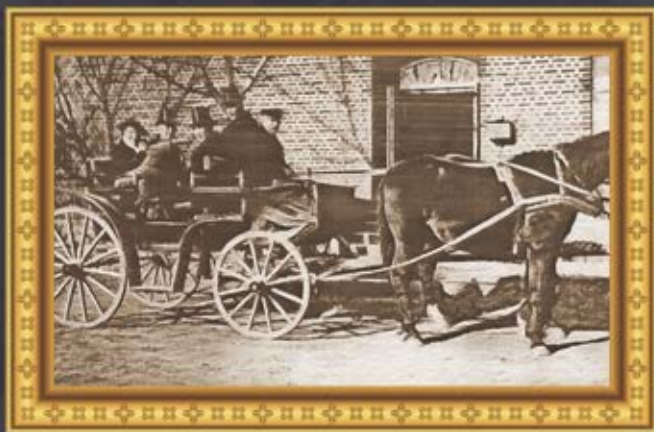


Witold Broda, Justyna Woźniak



Portrety wsi Gminy Cewice.

Historia i współczesność

Portraits of villages in the Commune Cewice.

History and the present day

Witold Broda i Justyna Woźniak
„Portrety wsi Gminy Cewice. Historia i współczesność
Portraits of villages in the Commune Cewice. History and the present day”

Copyright © by Witold Broda i Justyna Woźniak, 2015
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o., 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana,
powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Zdjęcia: Urząd Gminy w Cewicach,
Goethezeitportal <http://www.goethezeitportal.de>,
<http://www.karlsruhe.de>,
<http://wolneforumgdansk.pl>
Witold Broda, Julia Nowak,
Adam Korzeniewski, Michał Wiśniewski

Skład: Jacek Antoniewski
Projekt okładki: Robert Rumak
Korekta: Paulina Józwiak
Ilustracje na okładce: @ -=MadDog=- - Fotolia.com

ISBN: 978-83-7900-385-3

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 665 955 131
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Rozdział 1

Portrety naszych wsi

My, brat Winrych von Kniprode, Wielki Mistrz Zakonu Braci Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie, w obecności naszych zakonnych dostojników potwierdzamy naszym zaufanym braciom Walterowi i Klausowi oraz braciom Gunterowi i Walterowi, potomkom Hannusa wszelkie prawa i wolności dziedziczenia oraz nadajemy i rozdzielamy między nich i ich następców 60 wolnych łanów na prawie magdeburskim w wieczyste posiadanie w granicach sołectwa Cewice leżących. Za to powinni oni stawić się w zbroi na wszelkie wyprawy zakonu, bronić jego terytoriów oraz nowe zamki budować, stare naprawiać lub rozbierać kiedy my rozkażemy. Ponadto mają oni dostarczać płużne z będących w ich posiadaniu łanów, jeden korzec owsa oraz w dowód uznania władzy mają przekazać funt wosku i jednego kolońskiego feniga albo pięć fenigów pruskich. Chcemy też od nich, jako niższych miarowo, otrzymywać potwierdzenie należnej nam, jako lepszym zwierzchności z tej ziemi.

Na potwierdzenie przywieszamy naszą pieczęć do tego listu danego w Lęborku.

W dniu św. Andrzeja Apostoła 30 listopada 1362 roku. Świadcami są nasz umiłowany brat Wolferam von Baldersheim wielki komtur,

Gieselbrecht von Dudelsheim komtur w Gdańsku, Wicbolt nasz kapelan, Cumot von Calamunte nasz kompan i wielu czcigodnych ludzi.

Ten akt nadania Cewic braciom Grela to pierwszy znany, pisany dokument, w którym wspomina się o wsi Cewice. Poznanie tego dokumentu, a w szczególności informacji o sposobie nadania, małej daninie i fakt, że Grelom nadano prawa magdeburskie świadczą, że Cewice z jakiejś przyczyny były miejscowością szczególnie uprzywilejowaną, ale przede wszystkim, że Grelowie byli szlachtą pomorską, bo Niemcom nadawano prawa chełmińskie.

Przez ponad 400 lat rodzina Grelów posiadała większość dużych majątków w granicach obecnej gminy Cewice. Do różnych linii rodziny Grelów należały Łebunia, Maszewo, Bukowina, Siemirowice i Osowo prawie do końca XVIII wieku.

Po raz pierwszy Cewice dokładnie opisano w roku 1784, gdy właścicielami dóbr Grelowie już nie byli.

Około 1 i 1/2 wielkiej mili od Lęborka na południowy zachód, przy trasie pocztowej ze Słupska do Lęborka leży. Ma to dobro z folwarki, 7 chłopów, 7 chałupników i dwie karczmy, z których jedna „Pusty dzban” przy trasie pocztowej leży. Jest tam jeden bakałarz, a na miedzach tej wsi, nad strumieniem bukowińskim folwark Bór nazywany. Jest i las dębowo-bukowo-brzozowy. Dobro liczy 27 dymów. Jest też w łebuni wiejska krowiarnia do wsi tej należąca. Do pana Joachima

v. Wobesera i jego żony Marii Henrietty z Weiherów oraz pana Johana v. Deminskiego i jego żony Karoliny Ludwiki z Schachmannów
dobra te należą.

Czas Grelów na tych ziemiach to czas bardzo burzliwych przemian historycznych, zmian panujących: zakonu krzyżackiego, Prusów, władców polskich i władców niemieckich, ale przez cały ten czas Grelowie odgrywali w nim znaczącą rolę. Już na początku xv wieku dokumenty odnotowują Czcibora Grełę z Łebuni, który w latach 1417–1440 pełnił funkcje ławnika ziemskiego w komturstwie gdańskim oraz funkcje świadka w aktach wydawanych przez komturów. Polityka ucisku ludności przez zakon krzyżacki spowodowała, że w roku 1440 powstał Związek Pruski – rodzaj konferencji rycerstwa i miast państwa krzyżackiego. Działalność Związku skierowana była przeciw Zakonowi. W imieniu rycerstwa łęborskiego akt przystąpienia opieczetował Czcibor Grela. W roku 1454 Związek Pruski wypowiedział posłuszeństwo Zakonowi i Gunter Grela z Łebuni, syn Czcibora, reprezentujący całe rycerstwo gdańskie, złożył hołd i przywiesił swoją pieczęć do aktu poddania stanów pruskich królowi polskiemu Kazimierzowi Jagiellończykowi. Również Gunter Grela w końcu 1455 roku zapobiegł akcji zmierzającej do przywrócenia panowania krzyżackiego na ziemi łęborskiej. Akt inkorporacyjny, wydany przez Kazimierza Jagiellończyka, oddał ziemię łęborską w lenno ksiądzętom pomorskim i skończyło się 150-letnie panowanie krzyżackie na tej ziemi. Nazwisko Grela jeszcze wielokrotnie pojawia się w dokumentach na przestrzeni od xvi do xviii wieku, jednak w okresie, gdy na Pomorzu rosły wielkie fortuny książęce lub magnatów

pruskich, znaczenie i wpływy rodzin Grelów malały i w różny sposób, a to na skutek koligacji małżeńskich albo zwykłego zbywania majątków, zmieniały się nazwiska posiadaczy dóbr ziemskich w Cewicach, Bukowinie, Maszewie, Osowie czy Siemirowicach. Jak wynika z przekazów, tragiczny był koniec rodziny Grelów w Łebuni. Na przełomie XVII i XVIII wieku, jeden z parobków łebuńskiego majątku, w ataku szału, zabił wszystkich członków rodziny właściciela majątku. Mówi się, że zabił również wszystkie zwierzęta domowe: koty, psy, a nawet ptaka w klatce. Jaki był powód tego strasznego morderstwa, nie wiadomo. Całą rodzinę Grelów pochowano w jednej mogile na wiejskim cmentarzu leżącym w lasku na końcu wsi oddalonym około 150 metrów od drogi w kierunku Osowa. Obok ludzi pochowano również ich ukochane zwierzęta. Na grobie zbudowana została niewielka kaplica cmentarna, w której podziemiach grzebano następnych zmarłych z rodziny właścicieli dóbr łebuńskich, ale już nie Grelów.

Jeszcze 15 lat temu kapliczka grobowa wyglądała nieźle. Obecnie została po niej kupa gruzów. Sam cmentarzyk również nie wygląda najlepiej. Czasy braku szacunku dla zmarłych, zwłaszcza zmarłych w innej wierze, czasy bezwzględnych zbieraczy złomu wystawiły świadectwo w postaci obdartych, zniszczonych mogił oraz okradzionych z cegły, marmurowych płytek i dachówki kaplic cmentarnych.

Rodzina Grelów wniosła wiele w ukształtowanie, rozwój i stan posiadania, a nawet obecny wygląd wielu miejscowości w naszej gminie. Jednak byli oni częścią prawie najnowszej historii tej ziemi. Użycie słowa „prawie” jest uprawnione, ponieważ historia osadnictwa na terenie, gdzie leży obecnie Gmina Cewice, sięga czasów bardzo odległych, czego

przykładem są kurhany siemirowickie. Cmentarzysko obejmuje 122 mogiły i położone jest na północny zachód od Siemirowic przy drodze prowadzącej przez las z Siemirowic do Oskowa.

O tym, że w siemirowickim lesie są kurhany, wie sporo osób. Swojego czasu modne były wycieczki szkolne, ale również wiele osób odwiedzało to miejsce zupełnie prywatnie, całymi rodzinami. Kilka lat temu przy drodze dojazdowej ustawiono tablice informacyjne i obecnie można zdobyć sporo informacji o tym miejscu.

Na podstawie wydobytych podczas wykopalisk, przeprowadzonych przez naukowców niemieckich w roku 1930, ale także polskich, którzy rozkopali kilka kurhanów w roku 1957 i latach siedemdziesiątych, wyrobów metalowych oraz ceramiki, określono, że kurhany powstały już w okresie epoki brązu, tzn. 1000–800 lat p.n.e. Prosto licząc, mają około 3000 lat i zaliczane są do okresu wschodniopomorskiej kultury łużyckiej.

W każdym kurhanie pochowanych było średnio 5 osób. Średnia długość życia pogrzebanych kobiet wynosiła od 25 do 35 lat, a mężczyzn od 35 do 40 lat. W niektórych kurhanach chowano po jednej kobiecie z dzieckiem. Dużo dzieci umierało w wieku od 2,5 do 5 lat.

Jak wcześniej wspominałem, kurhanów naliczono 122, lecz istnieje ich znacznie mniej, a wiele z tych jest uszkodzonych, spenetrowanych przez „poszukiwaczy skarbów” lub zbieraczy staroci. Największą szkodę na cmentarzysku wyrządzili miejscowi rolnicy przed wojną, jak i po wojnie, wykorzystując kamienie z grobowców, jako materiał do budowy domów i budynków gospodarczych. Sporych zniszczeń w stanie kurhanów dokonał w 1956 roku Rejonowy Zarząd Dróg Wodnych, który używał kamieni

z siemirowickich kurhanów do umacniania brzegów Wisły w Tczewie. Interwencja Konserwatora Zabytków Architektonicznych w Gdańsku, choć nieco spóźniona, położyła kres niszczeniu bezcennych zabytków.

Z całą pewnością kurhany kryją w sobie wiele tajemnic i powinny zostać dokładnie przebadane przez naukowców. Zwiedzający chętnie obejrzeliby na żywo przekroje mogił, sposób ich budowania, tajemnicę ich zróżnicowanej wielkości i lokalizacji.

Na własnej skórze doświadczyłem wielkiej tajemnicy kurhanów, o której nie wspomina się w żadnych opracowaniach. Otóż każdy z kurhanów emituje energię. Nie wiem, czy to energia pozytywna, czy negatywna dla ludzi, ale każdy kurhan ją emituje. Sprawdzałem ten fenomen wielokrotnie z użyciem różdżek na siemirowickich i nie tylko siemirowickich kurhanach. Zjawisko emisji jest dla mnie tak oczywiste, że wielokrotnie w różnych miejscach naszej gminy nieomylnie rozpoznawałem stworzone przez człowieka kurhany, odróżniając je od zwykłych pagórków o identycznej budowie. A trzeba wiedzieć, że kurhanami jest nasza gmina usiana. Nigdzie nie ma ich tylu w jednym miejscu, co w Siemirowicach, ale ich obecność w Oskowie, Krępkowicach, Unieszynku, Maszewie, Łębuni oznacza, że nasza gmina już w epoce brązu była dość mocno zaludniona.

Napisałem, że energii kurhanów „doświadczyłem na własnej skórze”. A było to tak. Kilkanaście lat temu, jako dobrze zorientowany w terenie pracownik urzędu, pojechałem na siemirowickie cmentarzysko kurhanowe z przedstawicielem muzeum łęborskiego i towarzyszącym mu panem, który okazał się być radiestetą wyposażonym w różdżki, waha-
delka i inne różnego rodzaju oprzyrządowanie niezbędne do badania

występowania różnych rodzajów energii. Ta wizyta na siemirowickim cmentarzysku kurhanowym miała dać efekt m.in. w postaci oznakowania terenu i wyposażenia w tablice informacyjne i tak dalej. Jednym słowem, mieliśmy przybliżyć kurhany ludziom i ściągnąć turystów. Zresztą od tej wizyty właśnie, tak uważam, zaczął się proces nagłaśniania informacji prasowych, oznakowania, jakie mamy dziś.

Panowie zajmowali się sprawdzaniem energii, mierzeniem pagórków, a ja służyłem do trzymania drugiego końca taśmy mierniczej. Z ciekawością przyglądałem się reakcji przyrządów stosowanych przez radiestetę, a reakcje tych przyrządów były różne w różnych kurhanach. Muszę powiedzieć, że nie bardzo w te wszystkie zjawiska wierzyłem. „Niewierny Tomasz” jak zobaczył, to uwierzył, ze mną było trudniej. Postanowiłem wykonać próbę własnoręcznie. Z wahadełkiem wszedłem do centrum kamiennego kręgu ułożonego z kurhanowych kamieni i swobodnie opuściłem wahadełko zawieszone na cienkim, dwudziestocentymetrowym sznureczku. I nic. Już chciałem ogłosić, że moja mała wiara w emisję energii jest uzasadniona, gdy nagle wahadełko drgnęło, zaczęło się kołysać na przemian w lewo i w prawo, by po chwili powoli przejść w ruch wirowy, w ten sposób nabierając szybkości. Nie pamiętam już, czy wahadełko kręciło się w lewo, czy w prawo, ale pamiętam, że wirowało tak szybko, że gdybym puścił sznureczek, to poleciałoby chyba kilka metrów. Właściciel wahadełka zabrał mi je, wyjaśnił, że z pewnością, podobnie jak on, posiadam dar emitowania energii (ma go wielu ludzi, lecz o tym nie wiedzą) i słuchają mnie jego przyrządy, ale przestrzega, że nieumiejętne stosowanie przyrządów radiestety może być dla mnie niebezpieczne.

Moja wiara, w to co mówił, nadal była mała. Postanowiłem wypróbować działanie różdżek. Powie ktoś: „stary chłop, a zachowuje się jak...” Jest jednak faktem, że gdy dotyka się z bliska jakiejś tajemnicy, czegoś niezrozumiałego i nienamacalnego, to jak ów „niewierny Tomasz” trzeba dotknąć ran w boku. Dwie zwykłe metalowe różdżki w moich dłoniach w kamiennym kręgu początkowo zachowywały się bardzo spokojnie, ale w miarę jak krok za krokiem zbliżałem się do centrum kręgu, odwróciły się od siebie (skierowały się w przeciwnych kierunkach). Gdy byłem w środku koła, różdżki drżały wprowadzone przez nieznaną siłę w ruch trudny do określenia. Było to drżenie drutów o wysokiej amplitudzie, kierunku góra – dół, a obie różdżki cały czas odwrócone były od siebie. Odnosiłem wrażenie, że różdżki chcą wyrwać się z rąk i zapaść pod ziemię.

Trwało to czas jakiś, jak się później okazało o wiele za długo. Panowie odjechali do swoich zajęć, ja do swoich, ale zająć się niczym nie mogłem. Dotknął mnie potworny ból głowy. Owszem, czasami pobolewała mnie głowa, rzadko i tylko na zmianę pogody na lepszą, ale teraz ból był ciągły. Nie mogłem patrzeć i trwało to kilka dni. Ponad wszelką wątpliwość wiedziałem, że był to wynik moich eksperymentów na kurhanach i kop od energii, w którą dotąd nie wierzyłem. Pojechałem do pana z muzeum, spotkałem się z panem radiestetą, który za pomocą przeze mnie wcześniej poznanego wahadełka i kilku gwałtownych ruchów dłonią nad moją obolałą głową spowodował, że po 15 minutach zauważyłem, że życie jest piękne. I znów jak dawniej głowa bolała mnie przed poprawą pogody. Dowiedziałem się później, że ból głowy minąłby sam po kilku tygodniach albo miesiącach.

Podobno chwilowe przebywanie w centrum kamiennego kręgu, w jego niezbadanej energii, działa uzdrawiająco na organizm. Radziłbym jednak na tym poprzestać i nie stosować tej terapii za często. Myślę, że spacer po uroczym, pachnącym lesie w towarzystwie tajemnic sprzed 3000 lat cudownie wpływa na zdrowie i wewnętrzny spokój. Swoją drogą, mamy już XXI wiek i należałoby w całości przebadać leżący w lesie prawie trzytysięcletni obiekt naukowy i tak samo wiekową osadę ludności kultury łżyckiej (z epoki brązu) w Siemirowicach, czekającą na naukowców pod warstwą gleby w miejscu oddalonym około 300 metrów na południowy zachód od budynku starej szkoły.

Druga taka osada znajdowała się w Siemirowicach 600 metrów na południe od starej szkoły. Możliwe, że jest to drugi kraniec tej samej, wcześniej wymienionej osady z epoki brązu. Tu jednak, w postaci przedmiotów, którymi posługiwano się we wczesnym średniowieczu, znaleziono ślady późniejszej osady.

W starych niemieckich źródłach odnotowano, że w Siemirowicach znaleziono kamienne groby skrzynkowe, urny z brązu, a także rzymskie złote monety bite za czasów cesarza Nerona. Zastanawiające jest, że chociaż w innych miejscach na terenie naszej gminy znajdowano dowody na istnienie osadnictwa w różnych okresach historycznych, dowody na istnienie dawnej wymiany handlowej, to jednak nigdzie ich nie znaleziono tyle, co w Siemirowicach. Mówią, że na polu koło szkoły, po każdej orce można znaleźć skorupy ze starych naczyń wypalonych z gliny. Przypadkiem to jest to samo miejsce, które wskazałem wcześniej jako miejsce po osadzie z czasów epoki brązu.

Miejsca wczesnego osadnictwa z całą pewnością nie były przypadkowe. Dzisiaj, wybierając miejsce na budowę domu czy chociażby kupując mieszkanie, kierujemy się atrakcyjnością miejsca, widokiem z okna, nasłonecznieniem i innymi względami, jak dostępnością do sklepu, komunikacji i lekarza włącznie. I w zasadzie nic się nie zmieniło. Dawniej, wybierając miejsce na osiedlenie się, starsi rodu lub plemienia kierowali się dostępnością do żywności, tzn. zasobnej w zwierzynę puszczy i pełnych ryb jezior i rzek. Rzeki musiały tworzyć rozlewiska, nieprzebyte bagna i mokradła, które uniemożliwiały wrogom niespodziewane podejście w pobliże osady. Element obronny odgrywał niebagatelną rolę i dlatego osiedlano się właśnie w takich miejscach jak obecne Siemirowice, gdzie od północy ochronę dawały osadnikom szeroko rozlane bagna, przez które płynęła leniwie woda, zwana później Bukowiną.



Gospoda L. Putziga w Unieszynie

Innymi miejscami, gdzie istnieją ślady wczesnego osadnictwa, są Unieszyno i Unieszynko. Myliłby się ktoś, kto sądzi, że obecnie wąska rzeczka czy wypasane łąki nie mogły stanowić przeszkody dla najeźdźcy. Stosunki wodne przez lata zmieniły się radykalnie. Zagospodarowane bagna zamieniły się w łąki, wody wążutkiej Unieszynki niegdyś płynęły szeroko, zwłaszcza po deszczu i wylewały się na grząskie bagna, których poza okresem suszy nie można było przebyć ani pieszo, ani konno. Okolice Unieszyna i Unieszynka musiały mieć równie bogatą historię osadnictwa, sądzę nawet, że bogatszą niż możemy podejrzewać.

W lesie, na północny zachód od Unieszynka, po północnej stronie rzeczki Unieszynki, znajduje się cmentarzisko kurhanowe z epoki brązu. 30 pięknych kurhanów kryje szczątki mieszkańców jakiejś osady, która czeka na odkrycie. Właściwie to pięknych kurhanów jest mniej niż 30. Kilka z nich, całkiem niedawno, bo zaledwie jakieś 8–10 lat temu, zostało rozorzanych przez ciężki sprzęt leśny podczas nasadzania lasu. Dziwić się należy, że nikt nie zauważył, rozorując regularne pagórki, że odkładająca się za pługiem skiba to same kamienie prawie identycznej wielkości. Za leśnicówką w Unieszynie, przy drodze do Pogorzelic, odkryto cmentarzisko płaskie ludności kultury pomorskiej z wczesnej epoki żelaza. Jest pewne, że wieś Unieszyno posadowiona jest na miejscu istniejącej kiedyś, w okresie wczesnego średniowiecza, osady. Dowodem na to są ślady osadnictwa wykopane bezpośrednio przy północno-zachodnim narożniku cmentarza. Znaleziono tam fragmenty ceramiki właśnie z wczesnego okresu średniowiecza.

Unieszyno jest bogate w różnego rodzaju cmentarze i groby. Tuż za małym cmentarzem ewangelickim „na górce”, na byłym polu „szkolnym”, po prawej stronie drogi do Maszewa znajduje się cmentarzisko płaskie ludności kultury pomorskiej z czasów określanych jako wczesny okres lateński, tzn. 400–100 lat p.n.e. Są jeszcze inne cmentarze w Unieszynie, ale o tych później. Mając wiedzę o takiej ilości cmentarzysk z różnych okresów historycznych, zgrupowanych na stosunkowo małym terenie, można wywnioskować, że osadnictwo było tu niemiernie bogate. A było.

Większa część Europy przyjęła chrześcijaństwo w IX wieku, a opiekali, przymuszeni powstawaniem nowych konfiguracji politycznych,

w wieku X, czego przykładem była Polska pod przywództwem Mieszka I. Mieszko, nie chcąc narazić młodego państwa na najazdy przymuszające do nowej wiary, przyjął chrzest z rąk króla czeskiego w 966 roku. Nasza cewicka ziemia, jako tereny podległe księstwu pomorskiemu, przyjęła chrześcijaństwo znacznie wcześniej, dzięki czemu prawdopodobnie uniknęła najazdów różnych krzyżowców, siejących chrześcijaństwo ogniem i mieczem, ale na początku XIV wieku dostała się w łapy zakonu krzyżackiego. Te krzyżackie łapy, same w sobie nie były miłe dla miejscowej ludności, a zwłaszcza dla właścicieli ziemskich. Wprowadzając swoje rządy, dokonywali Krzyżacy nowych nadań aktualnym właścicielom. Owe nadania nie tylko uznawały prawo właścicieli do ich ziemi, wsi, młynów itp., ale przede wszystkim regulowały podatki i inne należności wobec komturii krzyżackich, obowiązki na wypadek wojny, a nade wszystko regulowały budowanie i rozbieranie warowni według krzyżackich poleceń. Pozornie, czytając akty nadania, można odnosić wrażenie, że obdarowani powinni być wdzięczni i szanować darczyńców. Nic bardziej mylnego. Krzyżackie akty nadania na ziemiach, które oni otrzymywali różnymi sposobami do administrowania, oparte były na prawie magdeburskim. Co prawda były to nadania wieczyste, ale za to mogły być dziedziczone po linii męskiej, co oznaczało, że jeśli ziemianin nie miał potomka płci męskiej, to po jego śmierci cały majątek przechodził na własność zakonu. Takie praktyki Zakon powszechnie stosował na ziemiach zdobywczych lub lennych, przejmował legalnie majątki ziemian, którzy nie doczekali się dziedzica, lub którym synowie już w dzieciństwie umierali często w niewyjaśnionych okolicznościach, ale na pewno z pomocą Zakonu.

Prawdopodobnie już na przełomie XI i XII wieku chrześcijaństwo w znacznym stopniu wyparło na tych ziemiach inne wiary, obcych bożków, czarowników i niechrześcijańskie totemy. Łebunia stała się siedzibą chrześcijańskiej parafii, ale pierwsza świątynia powstała w Unieszynie. Jest to dowód wielkiego znaczenia tej wsi w tamtych czasach, gdy Lębork jeszcze nie istniał, a administracja miała siedzibę w Białogardzie.

Biorąc pod uwagę cały mój wywód o oznaczonych cmentarzyskach i innych znaleziskach w rejonie dzisiejszego Unieszyna i Unieszynka, samo się nasuwa, że pierwotna wieś Unieszyno znajdowała się mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie znajduje się obecnie. Jest też prawie pewne, że na wzgórzu, tuż przy skrzyżowaniu dróg do Unieszyna i Unieszynca, stał ten pierwszy chrześcijański kościół łebuńskiej parafii, pewnie w większej części drewniany, osadzony na polnych kamieniach. Taka budowla nie mogła przetrwać setek lat i kiedy pewnego dnia rozpadła się stara świątynia, lub gdy podczas burzy spłonęła razem z piorunem, na tym miejscu zbudowano nowy kościółek, po którym dziś już nie ma widocznych śladów. Ale był raczej na pewno. Świadczy o tym tajemniczy, dziwnie regularny, zamaskowany ziemią i porośnięty krzakami układ urządzenia wypłaszczenia na wzgórzu. Od strony południowej wzgórza, przy zakręcie drogi do Maszewa, znajdują się stare kamienne schody. Dziś niewidoczne, pokryte ziemią i krzewami, dają początek prowadzącej dalej alejce. Ta alejka, mniej więcej dwumetrowej szerokości, prowadziła pierwotnie aż do północnego skraju wzgórza. Idąc tą alejką, mijało się leżące po prawej stronie rzędy grobów. Teren

z grobami był wyraźnie obniżony w stosunku do poziomu alejki. Dwa rzędy grobów oddzielała niezbyt szeroka dróżka. Począwszy od schodów, pierwsze groby usytuowane były tuż przy samej drodze i tuż przy ogrodzeniu. Solidne, kamienne, z żelaznymi krzyżami i małą płytką porcelanową w centrum krzyża, gdzie zmieściły się tylko imię, nazwisko i dwie najważniejsze daty. Inne groby, bogatsze, z dużym kamiennym krzyżem, z wmontowaną weń czarną lub białą błyszczącą tablicą, na której mieściły się nie tylko daty, imię i nazwisko, ale zawód zmarłego lub profesja i osobiste intencje. Groby członków jednej rodziny były często ogrodzone wspólnym ogródkiem z metalowych kutych prętów, których jakość i dzisiejszy stan (tam gdzie się zachowały) świadczą o solidnej kowalskiej robocie. Były też pojedyncze groby otoczone ogrodzeniem z prętów lub kutym ciężkim łańcuchem rozpiętym na kamiennych słupkach.

Idąc dalej alejką, po kilkunastu metrach dochodziło się do najsmutniejszej części unieszyńskiego cmentarzyka – mogił dziecięcych. Niby ten sam rząd, ta sama aleja, ale już nie pod linię stały nagrobki kamienne, drewniane, zwykle kopczyki z krzyżykiem lub bez. Jedne otoczone metalowym ogródkiem, inne drewnianym, podniszczonym lub rozpadłym płotkiem, ale wszystkie porośłe zielenią, bluszczem i kwiatami. Niezapominajki, narcyzy, a nawet lilie dominowały nad chwastami, mimo że od wielu lat nikt tu nie pielął ani nie podlewał. Piękny był ten cmentarzyk. Ciągle go pamiętam i widzę z czasów mojego dzieciństwa, gdy z kolegami, kilkuletnimi łobuzami, chodziłem tam zrywać agrest rosnący przy resztkach ogrodzenia i nie wiedzieć dlaczego, tylko przy

jedynym grobie usytuowanym w centrum głównej alejki, zaraz za kamiennymi schodami. To była mogiła ostatniego pochowanego na tym cmentarzyku, jeszcze przedwojennego mieszkańca Unieszyna, którego pogrzebano tu na początku lat pięćdziesiątych. Cały cmentarzyk, znajdował się na prawo od alejki zapoczątkowanej schodami i zajmował trzecią część wypłaszczenia na wzgórzu. Cały teren na lewo od alejki musiał być pierwotnie jakoś użytkowany. W końcu czemuś, choć nie cmentarzowi, bo pierwszy rząd grobów w stosunku do alejki był wyraźnie obniżony, służyły kamienne schody i alejka główna. Właśnie dlatego uważam, że stał tam niewielki kościółek lub kaplica. Nawet rosnące tam drzewa zdają się potwierdzać, że wśród nich stała jakaś budowla, bowiem drzewa okalające ten teren są wyraźnie starsze, wręcz pomnikowe. Te porastające centralną część „placyku”, wiekiem wyraźnie odstają od pozostałych.

Mniej więcej do połowy lat sześćdziesiątych przedwojenne, przeważnie ewangelickie cmentarze zachowane były w doskonałym stanie. Zniszczenia następowały w sposób naturalny, wskutek zapadnięć, zniszczenia na skutek upadających drzew itp. Czytelne były nazwiska, daty i epitafia. Wynikało z nich, że najwcześniej pogrzebani urodzili się na początku XIX wieku, choć często można było spotkać groby urodzonych w latach 1770–1800. Na unieszyńskim cmentarzyku grobów nie było wiele. Choć wioska jest i była niewielka, to jednak w jej skład wchodziły jeszcze przysiółki: Unieszyniec (dawniej Neu Wunneschin), Unieszyno Osada Leśna (dawniej Wunneschin Wald), Unieszyno Leśnictwo (dawniej Wunneschin Forsterei). Unieszyno miało jeszcze jeden cmentarz. Doskonale

ten cmentarz pamiętam, bo był wyjątkowy. W niczym nie przypominał zacienionych, często ponurych nekropolii w ciemnym lesie.

Cmentarz leżał około 500 metrów na północny wschód od wsi, przy leśnej drodze do Unieszynka i dalej do Krępkowic. Obecnie teren ten stanowi część lasu, jednak jak pamiętam z początku lat sześćdziesiątych, wyraźnie wyróżniał się w terenie. Teren cmentarza zajmował powierzchnię około 100 na 100 metrów. Wystawa była południowa. Ogrodzony był ułożonymi w rzędzie dużymi kamieniami polnymi. Między rzędami grobów rzadko rosły wysokie, białe brzoźki, a na środku cmentarza stała kaplica cmentarna. Kaplica była biała, szary dach oparty był na kolumnach ozdobionych zwieńczeniami w żółtym albo w złotym kolorze. Wszystko było białe i wesołe. Zupełnie nie jak cmentarz, a raczej park dla dzieci. Nigdy w życiu nie widziałem więcej takiego „radosnego” cmentarza. Wielokrotnie chodziłem na ten cmentarz, bo nawet droga do niego była jakaś przyjazna. Szło się z Unieszyna przez las (dla skrócenia drogi), potem polną drogą, gdzie od północy rósł piękny, gęsty las, a od strony południowej pole zbiegało w dół do rzeki Unieszynki. Stamtąd widać całe Unieszyno, w dali Unieszyniec, a przede wszystkim wcześniej opisaną górkę z cmentarzykiem. Około 100 m przed cmentarzem, po lewej stronie, tuż przy drodze leżało koło młyńskie. Koło było zagłębione w ziemi na połowę grubości i pewnie wszyscy przechodnie zastanawiali się, co ono tam robi, znajdując się w sporej odległości od byłego młyna. Dowiedziałem się później od pewnego myśliwego, że przechodząc tamtędy, zauważył, że wielki kamień jest odrzucony, a pod jego odciskiem znajduje się jama w kształcie i wielkości beczułki do piwa. Działo to się

w tym samym czasie, jak zniknął „radosny” cmentarz w Unieszynie. Może to prawda, że spoczywało tam coś wartościowego, a może nieprawda. Jest jednak faktem, że o takiej i innych historiach wiele w tych stronach opowiadano.

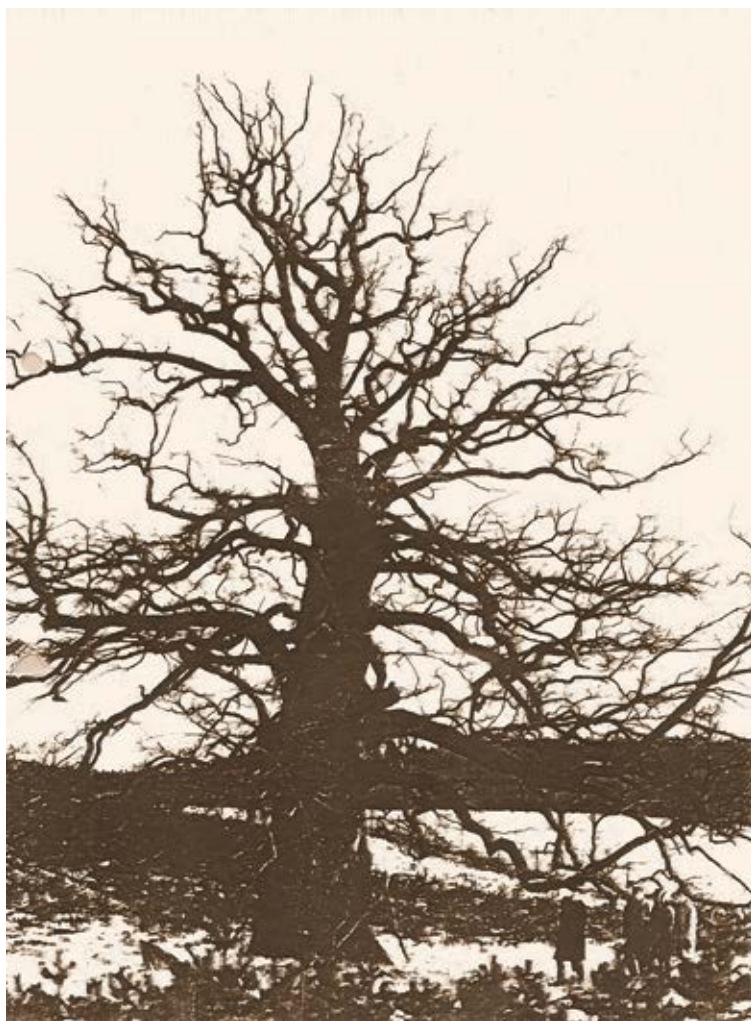
Trudno powiedzieć, komu ten cmentarz przeszkadzał. Zniknął w krótkim czasie. Na początku lat osiemdziesiątych nie pozostało tam nic poza szczątkami jednego nagrobka. Znikły kamienie okalające cmentarzyk, znikły groby i kaplica, znikła nawet większość brzoź, a ich miejsce zajęły sosny nasadzone lub samosiejki. W ten sposób cmentarz znikł, a teren wcielono do sąsiadującego lasu.

O wsi Krępkowice pierwszy istniejący zapis pojawił się w roku 1362. 17 lutego tego roku Komtur Gdański Giselbrecht z Dudeisheim nadał ziemię Crampechowitz, bo tak się wtedy wieś nazywała, czterem osadnikom: Seyfrydowi, Dominikowi, Maciejowi i Wincentemu. Później wielokrotnie Krępkowice zmieniały właścicieli, by w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku przejść w posiadanie grafa Leopolda von der Osten von Jannewitz, właściciela Janowic i Janowiczek.

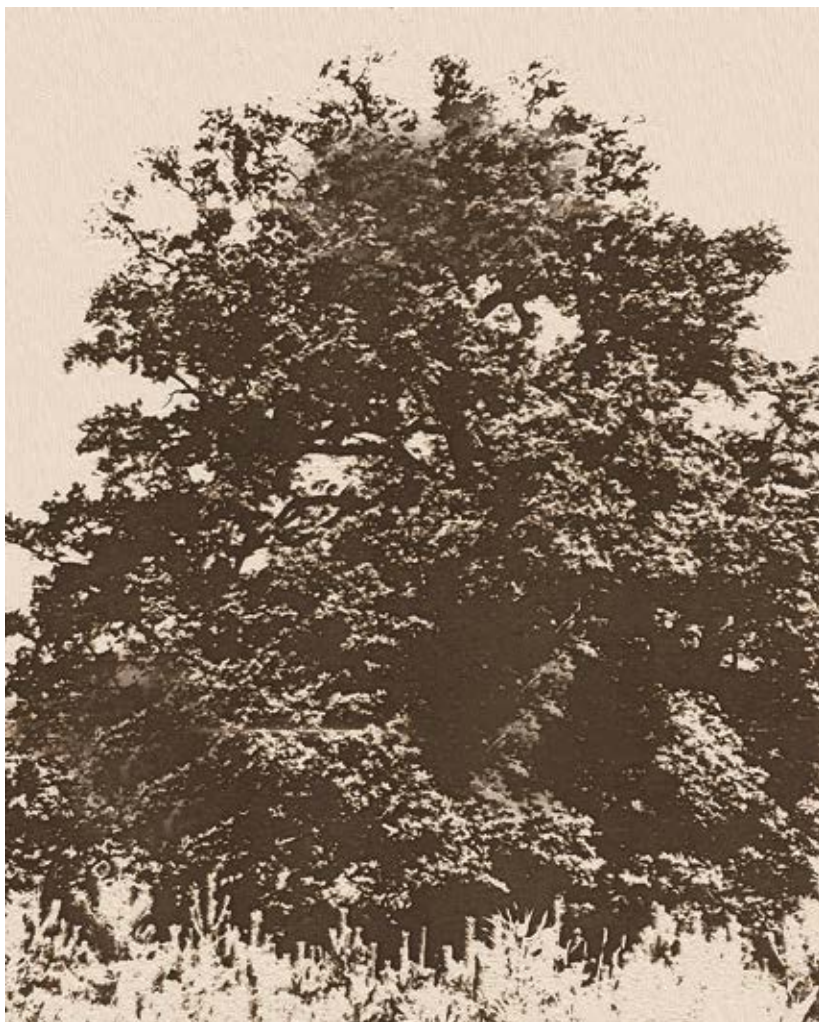
Rodzina von der Osten przyczyniła się do szybkiego rozwoju wsi. Zbudowano dworek, który stał się letnią rezydencją rodziny, która resztę roku spędzała w Janowicach. Zbudowano, dzisiaj już nieistniejące zabudowania gospodarcze, a także, w roku 1887, niewielki drewniany kościół. Od 1890 roku mieszkał tu już stale proboszcz, ale podlegał pod kościół parafialny w Łebuni. Wreszcie rodzina Osten ufundowała kościół do dziś istniejący, który został wyświęcony w 1906 roku. W tym samym czasie na sąsiadującej działce pobudowano dom pastora (dziś nazywany

plebanią, chociaż żaden ksiądz tam nie mieszkał), później obok niego dom organisty i w końcu szkołę. Z całą pewnością w kosztach budowy tych obiektów uczestniczył graf von der Osten von Jannewitz.

Pan hrabia, wraz z małżonką, podejmowali w Krępkowicach wielu znaczących gości. Szczególnie ochoczo przyjeżdżali tu rozmilowani w myślistwie panowie z Berlina. Lasy były bardzo zasobne w zwierzynę, szczególnie dziki i jelenie. Na potrzeby gości przyjeżdżających do Krępkowic, kazał hrabia Osten zbudować drewniany dworek, który nazywano „dworkiem myśliwskim”. Sława krępkowickich lasów i gościnność gospodarzy trwała długo i była powszechnie znana. W czasach hitlerowskich Niemiec przyjeżdżali tu wysocy hitlerowscy dygnitarze z Berlina, a szczególnie Krępkowice i wygodny dworek myśliwski upodobał sobie zapalony myśliwy Herman Goering, który tak często dworek zamieszkiwał, że w końcu przyłgnęła do niego nazwa „dworek Goeringa”, po niemiecku „Goeringhaus”. Graf der Osten von Jannewitz był na ziemi lęborskiej postacią bardzo znaczącą i znaną w całych Niemczech, głównie za sprawą posiadania wielkiego majątku. Tylko w Krępkowicach w roku 1940 posiadał 1480 hektarów gruntów, z czego lwią część stanowiły lasy. Był także właścicielem jeziora Brody, wówczas zwanym „Breitesee”. Na bardzo rybnym jeziorze, w jego południowej części wybudowano długi pomost, a tuż przy wodzie chatę dla rybaka i jego sprzętu. Jego zadaniem było dostarczanie świeżych ryb do dworu. Miejsce to najstarsi jeszcze pamiętają, a nazywało się po prostu Rybak. Miał jeszcze pan hrabia stawy rybne zasilane Strugą Krępkowicką i młyn na tej rzeczce. Resztki tego młyna można znaleźć nad strugą w lesie, przy drodze biegnącej nieopodal



Dąb „Świętopętk” zimą – lata sześćdziesiąte XX wieku



Dąb „Świętopełk” latem – lata sześćdziesiąte XX wieku

wiekowego dębu zwanego „Świętopełkiem”. To stare drzewo zachowało się do dzisiejszych czasów dlatego, że rośło przy drodze prowadzącej do strugi, prawdopodobnie do młyna, której ślady do dziś widoczne są w lesie, obecnie porastającym to miejsce.

Wiek „Świętopełka” oceniany jest na około 700 lat.

Prawdą jednak jest, że przedwojenne źródła niemieckie podają wiek tego drzewa na 800 do 1000 lat. Ten sam wiek podawali polscy przyrodnicy, którzy przeprowadzili badania w latach sześćdziesiątych, wykorzystując do tego celu odłamany przez burzę konar drzewa. Inni ostrożnie szacowali wiek tego drzewa, ponieważ kielecki Bartek, uchodzący za najstarszy dąb w Polsce, byłby co najmniej sto lat młodszy od Świętopełka. Jest jednak bardzo prawdopodobne, że krępkowicki dąb jest starszy od Bartka, chociaż mniej okazały. To jednak jest łatwo wytłumaczalne, ponieważ świętokrzyski Bartek rośnie na glebie zasobnej, natomiast Świętopełek rośnie na piasku i ma znacznie mniejsze przyrosty roczne. Przyjmując nawet ten jego zaniżony wiek, to wiele mógłby Świętopełek o tej ziemi powiedzieć, bo już w czasach, gdy panowali tu Krzyżacy, miał 100 lat, a imię otrzymał nieprzypadkowo, ale o tym jak to się stało, opowiada legenda.

Dobrze żyło się ludziom w Krępkowicach pod panowaniem księcia Świętopełka Wielkiego. Lubili swego pana ludziska, bo choć żyli ubogo to jednak spokojnie, wszelkie wojny ich oszczędzały, a i wszędobylscy Krzyżacy rzadko tu zaglądali.

Gdy stary książę umarł, ziemię od Lęborka aż po Bytów Zakon zajął, na ludzi nałożył wysokie podatki. Z czasem płacili ludzie za

wszystko. Od stoga i od snopa, za to że jedli i za to że pracowali. Gdy chłop jakiś świnię na mięso zabił, połowę musiał wieźć na zamek w Lęborku. Nawet ziarna nie można było w pobliskim młynie zemleć tylko w młynie zamkowym. A wszystko dlatego, że oprócz zapłaty za zmielenie, trzeba było połowę mąki Krzyżakom zostawić, by oni zawsze do prowadzenia wojen i przetrzymywania oblężeń pełne składy mieli.

Przy Krępkowickiej Strudze był młyn i chociaż młynarzem był osadzona tam za starego księcia Prusak, dobry był z niego człowiek i często ludziom w biedzie pomagał. Gdy za zmielenie nie mógł jakiś biedak, we młynie w pracy pomógł i młynarz dług darował. Bywało, że gdy kto ziarna na siew nie miał bo zima była ciężka i dzieciaki ziarno zjadły, młynarz trochę ziarna do żniw pożyczył. Chwalili ludzie młynarza, bo chwalić było za co a wielu było takich co dzięki niemu ciężkie krzyżackie czasy przetrzymali.

Pewnego razu, po sianokosach, z workiem ziarna na plecach wybrał się do młyna Kaszuba Grela. Z Krępkowic do młyna przy Strudze nie było daleko, wozem można dojechać w małe pół godziny, ale Grela dawno już woza ani wołu nie miał. Wół zdechł ze starości a wóz Grela oddał za kartofle, bo nowego wołu nie miał za co kupić. Szedł powoli chłop, co kawałek worek z pleców zrzucał dla odpoczynku. Dzień był ciepły, słońce mocno grzało aż Grela się spocił i postanowił nieco dłuższy postój w cieniu przydrożnego dęba zrobić. Widać już było młyn, a że dzień był bezwietrzny, słychać było plusk wody spadającej z młyńskiego koła.

Usiadł więc Grela, zdjął czapkę z głowy i chyba trochę się zdrzemnął, bo gdy się ocknął ujrzał przed sobą brodatego Krzyżaka na karym

koniu. Chociaż gorąco było a Kaszuba strachliwy nie był, zimne dreszcze przeszły mu po plecach. Spotkanie z Krzyżakiem nie wróżyło nic dobrego.

– „Jezusie Nazareński – pomyślał Grela – jak on mi ziarno zabierze, to już tylko pokrzywy jeść będziem. A może lepiej niech ziarno weźmie a puści wolno, bo on przecież gotów mnie do lęborskich lochów zawlec”.

Trudno zgadnąć co Krzyżak myśli, bo jego twarzy chłop dojrzyć nie może, słońce prosto w oczy mu świeci a Krzyżak na koniu cały w cieniu dęba stoi. Nagle tamten pyta:

– Co masz, chłopie, w tym worku?

Grela po niemiecku słabo mówił ale rozumiał tą mowę, bo zakonni we wsi częstymi „gośćmi” byli a i z młynarzem tylko po niemiecku można było się dogadać.

– Ziarno na mąkę do młyna niosę, panie rycerzu, bo jeść nie mamy co! – odparł chłop.

– Do zamkowego młyna, przecie, w drugą stronę iść trzeba – mówi dalej Krzyżak.

– Do Lęborka z workiem nie dojdę, a w tym młynie – wskazał w kierunku Krępkowickiej Strugi – nie gorszą mąkę mielą i do mojej wsi blisko, panie!

– Jako poddany gdańskiego komtura, ziarno na mąkę do zamkowego młyna nosić masz. Komtur to twój pan najpierwszy i największy. A może ty innego pana masz? – groźnie warknął Krzyżak.

Chłopu na powrót gorąco się zrobiło. „Już po mnie” – pomyślał, ale strachu nie okazuje a nawet odwagi mu przybyło, bo teraz już wie, że w lochu zgnije, żal mu tylko, że żona się nie dowie, gdzie jej

chłop z ostatnim workiem ziarna się zapodział. „Za naszego księcia Świętopełka takie rzeczy zdarzyć się nie mogły” – pomyślał. Hardo więc odpowiada:

– Pan mój potężniejszy od komtura w Gdańsku.

– A kto to jest ten twój taki potężny pan? – złowrogo pyta Krzyżak.

– Świętopełek!

Krzyżak wyszarpnął miecz, wznosił go w górę i krzyczy:

– A gdzie jest ten pan, pokaż mi go a wnet go na dwoje rozplątam i zobaczysz wtedy, chłopie, jaki on potężny!

Grela już wiedział, że za chwilę ze starym panem się spotka, wznosił wysoko rękę i palcem wskazał niebo.

– Ha, ha, ha ... – zaśmiał się Krzyżak – to jest twój pan? To tylko drzewo, głupi chłopie. Idź do diabła, gadać z tobą nie będę. Drugiego takiego głupka w życiu nie widziałem!

Ściągnął koniowi cugle i odjechał a jego szyderczy śmiech słyszał Grela póki postać Krzyżaka znikła w pobliskim lesie.

Chłop do wsi z mąką wrócił, swoją przygodę opowiedział a dąb, pod którym cała rzecz się działa „Świętopełkiem” ludzie odtąd nazywali.

Do 1945 roku większą część gruntów w Krępkowicach posiadał graf von der Osten von Jannewitz. 22 hektary w sąsiedztwie młyna były własnością młynarza Maxa Bogs'a. Młynarz Bogs miał ponadto jedną parę koni, 10 sztuk bydła, w tym 6 krów i 20 świń i jak na owe czasy był dość majątny. 213 hektarów posiadał Siegfried Quasching, a także 14 koni, 50 sztuk bydła, w tym 25 krów i 100 świń. Przed nadejściem Armii Czerwonej wyjechał na zachód hrabia von der Osten z rodziną, wyjechał Siegfried Quasching, natomiast młynarz Bogs nie zdążył uciec ze swojego

młyna. Żołnierze wywlekli go z chałupy, zabili, a ktoś później pochował biedaka koło młyna. Do dziś można zobaczyć mogiłę przy Krępkowickiej Strudze z imieniem i nazwiskiem na drewnianym krzyżu.



Szkola w Oskowie w 1932 roku

Oskowo – dzisiaj niewielka, cicha wieś, niegdyś najbardziej znana w Europie miejscowość naszej gminy za sprawą granic, które zawsze w tym miejscu przebiegały. Wiadomo, że już we wczesnym średnio-wieczu między Siemirowicami i Oskowem przebiegała granica państwa krzyżackiego.



Rysunek: Daniel Chodowiecki

Podróźni na szlaku pocztowym między Łupawą a Oskowem



Rysunek: Daniel Chodowiecki

Wieś kaszubska. Rysunek wykonany w Oskowie w 1770 roku

Za czasów panowania książąt pomorskich zorganizowano szlak pocztowy z Berlina do Królewca i tu w Oskowie (wtedy Wutzkow) powstał graniczny urząd pocztowy. To zapewne był punkt zwrotny. Dotychczas cicha wioseczka zaczęła się szybko rozwijać. Powstała gospoda, zbudowano noclegownię oraz stajnie, bo w punkcie granicznym dokonywano zmiany koni pociągowych do dylizansu pocztowego.



Rysunek: Daniel Chodowiecki
Gospoda pocztowa w Oskowie



Rysunek: Daniel Chodowiecki
Stajnia przy granicznym urzędzie pocztowym w Oskowie

Król pruski Fryderyk Wilhelm kazał zbudować w Oskowie „dom królewski”, w którym on sam zatrzymywał się na noc w czasie podróży do Prus Wschodnich. W zależności od sytuacji politycznej elektorzy pruscy zmieniali przebieg szlaku pocztowego. Zawsze jednak szlak biegł przez Oskowo. Z tego okresu zachowały się ryciny przedstawiające elementy pomieszczeń obiektów towarzyszących granicznemu urzędowi pocztowemu.

Dobra passa Oskowa trwała do roku 1782, tj. do czasu, kiedy pocztowe dyliżanse przestały tędy jeździć. Być może stało się to za sprawą niejakiego Levina Mosesa, Żyda, który był stróżem w Lęborku i z chęci posiadania majątku napadł na poczmistrza Salonky powożącego dyliżans pocztowy, zabił go i ukradł przewożone kosztowności i wartościowe przedmioty.

Istnieje, spisane w języku niemieckim, zeznanie mordercy, który opowiada w nim o pobudkach i przebiegu zbrodni, której dokonał. Tłumaczenia dokonał pan Przemysław Szymła z Siemirowic.

Wieść o morderstwie, którego dokonał Żyd Levin Moses, pomiędzy Lęborkiem a Oskowem w pobliżu wsi Cewice w październiku 1781, za co w lutym 1782 skazany został przez Trybunał na stracenie.

Przedstawiona jest tu opowieść o morderstwie na pocztylionie, którego dokonał stróż żydowski z Lęborka zwany Levin Mores w miesiącu październiku 1781-go roku pomiędzy Lęborkiem a Oskowem w pobliżu wsi Cewice, po czym dwa miechy pieniędzy z wozu pocztowego zrabował. Ten sam na wozie pocztowym w Cewicach widziany,

wkrótce przyznał się do winy w procesie i w miesiącu lutym 1782 stracony został w Lęborku za sprawą Sądu.

Żyda Mosesa przesłuchanie i rozpoznanie.

Trzykrotnie nosiłem się z zamiarem dokonania tego morderstwa. Pierwszy raz przymierzyłem się z drągiem, leżąc w pobliżu szlaku za wzniesieniem i oczekiwałem na wóz pocztowy. Gdy ten przybył, szli przed nim dwaj parobkowie. Odłożyłem więc mój kij, poniechałem napadu i poszedłem swoją drogą. Innym razem udałem się do wsi i czekałem na wóz. Gdy już słychać było tętent, pomyślałem znowu: „Tak być nie może” i poniechałem próby. Trzecim razem poszedłem w pobliże Cewic i czekałem na pocztę. Gdy ta przyjechała, powiedziałem do pocztyliona: „Weź mnie ze sobą!” Odpowiedział: „Jeśli dasz mi flaszkę bimbru.” Ja na to: „W takim razie dam ci”, po czym wsiadłem na wóz. Pocztylion rzekł: „Żydzie! Jedź więc, mi jest to obojętne.” Tak więc jechałem aż pod Cewice, gdzie on zasnął. Obudziłem go i powiedziałem: „Jedźże, ja pójdę do Cewic.” Powiedział: „Muszę dojechać do gospody, ale pijany nie mam odwagi, daję ci więc moją flaszkę na bimber i 6 fenigów – masz wrócić z bimbrem.” Poszedłem do wsi. Tam ukryłem za pazuchą duży nóż, który potem zgubiłem. Wróciłem więc do niego i pojechaliśmy. Spytałem go: „Chcesz bimbru?” Odpowiedział: „Tak, daj mi butelkę.” Powiedziałem, że ma pić. Nie chciał, to nie byłoby właściwe, musiałby komuś powierzyć wóz. Chciał się zatrzymać w gospodzie, napić konie. Ja nie chciałem mu pomóc. Zaproponowałem: „Mógłbym ja powozić dalej. Połóż się w wozie.” Odpowiedział: „Dobrze mój drogi Żydzie.” Miał worek

z atlasem, który podłożyłem mu pod plecy. Jechałem cały kawałek, aż do godziny piątej. On spał. Wtedy zatrzymałem się, odwiesiłem lejce. Zszedłem na lewą stronę, wziąłem mój bat, którym chciałem go uderzyć, ale nie mogłem go dosięgnąć, bo za głęboko leżał w wozie. Zszedłem na ziemię i wziąłem cztery kamienie razem i uderzyłem go raz w głowę. Wrzasnął: „Ho!” Uderzyłem go jeszcze dwa lub trzy razy. Leżał i rzeził. Pojechałem z nim do szlaku słupskiego i nim samym jeszcze jedno skrzyżowanie. Tam się zatrzymałem i jako że on ciągle jeszcze rzeził, zaciągnąłem zupełnie lejce, zszedłem na lewą stronę. Tam dobyłem worek, w którym było osiemnaście noży. Wziąłem jeden z nich. On jednak leżał całkiem głęboko w wozie. Chwyciłem go za włosy, podniosłem wysoko i wbiłem nóż w jego gardło, aż przestał rzezić. Potem wziąłem nóż, odciąłem paski ze skórzanej torby, zabrałem z niej dwa miechy ze złotem. W jednym z nich były także listy, które wyjąłem i rzuciłem na stronę. Pobiegnąłem z sakwami pełnymi pieniędzy przez pola do wsi Wuttin. Położyłem je nad strumieniem w krzakach. Poszedłem do wsi do rolnika, którego znałem. Ten poczęstował mnie tabaką i szklanką wody. On jednak zauważył krew na mojej fletni ukrytej w kurtce. Pozostawiłem go samemu sobie. Wzięła mnie trwoga, że ktoś mógłby zabrać pieniądze. Zabrałem je zatem. Kupiłem 2 szklanki bimbrowy, jako że czułem się winny i jedną wziąłem jeszcze dodatkowo. Jako że zbliżała się noc, zapukałem do gospody w Osowie. Szynek poczęstował mnie szklanką bimbrowy. Zapłaciłem mu 1 Talara 12 groszy, które byłem mu winien, bo teraz miałem już pieniądze. Chciałem iść dalej, ale szynek stwierdził, że jest już noc

i spytał, czy nie chciałbym u niego pozostać. Dał mi więc łóżko. Wcześniej rano spotkałem szanowną panią baronową, która mnie zapytała, czy nie mam czegoś na handel. Zaprzeczyłem. Powiedziałem za to, że wiem, iż rybacy powinni mieć pstrągi ze strumienia. Pospiesznie wróciłem nad strumień, dobyłem miechy i ukryłem je znowu w krzaku. Spotkałem także kobietę z drzewem, która mnie zapytała, co tutaj robię. Odpowiedziałem: „Czekam na brata.” Pospieszyłem poprzez pola do młyna. Tam młynarz powiedział do mnie: „Moses! Jesteś poszukiwany, muszę cię aresztować.” Odpowiedziałem na to: „Chcieliby. Musieliby najpierw mnie wypuścić, bo zbyt dużo bimbrowy wypłem.” Pijany i z duszą na ramieniu wróciłem do Oskowa, gdzie już otwarto wóz pocztowy i odnaleziono pocztyliona. Nie przejąłem się tym, jako że wkrótce miałem zostać uwięziony. Zeznałem, że to szynkarz z Cewicy współdziałał w morderstwie i to on go rozpoczął. Myślałem, że pod przymusem się przyzna, a ja tylko przed Bogiem i sumieniem odpowiem za zło, które wyrządziłem i Jego proszę o przebaczenie. Do tej pory w życiu nikogo nie okradłem ani nie zabiłem, a ten raz jest pierwszy i ostatni, na co przysięgam Bogu. Proszę więc Boga o wybaczenie a wysoki sąd o łaskawy wyrok.

Osądzony Żyd Levin Moses skończył życie w męczarniach, łamany kołem przed lęborskim sądem, w obecności co ważniejszych mieszczan i zebranej gawiedzi. A szkoda. Wyjaśniłby może, gdzie naprawdę doszło do zbrodni i jaką trasą jeździł kurier z pocztą po terenie obecnej gminy Cewice. Są różne teorie na ten temat.

Muszę zacząć jednak od miejsca zbrodni. Uważam i mam dowód dający podstawy uważać, że Levin Moses nie zamordował poczytłiona Salonky między Wutzkow (Oskowo) a Zewitz (Cewice), lecz stało się to między Zewitz a Wussow (Osowo). Owszem, wskazane miejsce zbrodni, w którym ustawiono kamień i tablicę pamiątkową, znajduje się na trasie poczytłiona między Oskowem a gospodą wrzosową (Heidekrug). Dalej jednak trasa wyglądała inaczej niż obecnie się sądzi. Nie było obecnie używanych dróg, mostów, a trakty prowadziły po wypłaszczeniach, które umożliwiały objeżdżać rzeki i strumienie bez konieczności ich pokonywania.



Zajazd Kittlera w Cewicach – lata trzydzieste XX wieku

Zapręg pocztyliona nie przypominał niczym pędzącego dylżan-su z amerykańskiego westernu. To był solidny, ciężki wóz z drewnianą skrzynią na pocztę. Resztę platformy zajmowało siano dla koni i worki z owsem i sieczką. Z przodu, na koźle siedział woźnica–pocztylion osłonięty drewnianą budką przed deszczem, słońcem lub dokuczliwym wiatrem. Ten powóz poruszał się niezbyt szybko, ciągnięty przez dość ciężkie, wytrzymałe konie. W ciągu godziny pokonywał od 2 do 3 kilometrów.

We wsiach i miasteczkach funkcjonowały gospody, w których zatrzymywali się podróżni, ale takie gospody istniały także poza wsiami, przy traktach, dla wszelkiego rodzaju jezdnych, zaprzęgów, w tym i pocztowych. Gospody prowadzone były na ogół przez Żydów, którzy mieli wrodzony talent do robienia interesów. Gospoda czy karczma, jak je powszechnie nazywano, należała do Żyda lub karczmarz dzierżawił ją od właściciela okalających ją włości. Karczmarz przyjmował i obsługiwał przejezdnych gości, a także okolicznych chłopów i parobków, którzy przychodzili tu wydać ciężko zarobione pieniądze na okowitę, ale również posłuchać wiadomości ze świata, jakie przywozili przejezdni, a zwłaszcza pocztylion. Karczmarz prowadził z przejezdnymi kupcami drobny handel, był też karczmarz bankiem informacji o tym, co się na świecie dzieje i te informacje w karczmach czy gospodach przekazywane były dalej. Służyły zatem gospody także do wymiany informacji, a pocztylionom i ich zaprzęgom dawały schronienie w czasie ulewy, burzy, zamieci i upału. Tu można było napoić spragnione konie i dać im trochę odpocząć przed dalszą podróżą. Na noc pocztylion zatrzymywał się w pocztowej stancji lub miasteczku, bo nocna podróż była bardzo

niebezpieczna i chociaż powszechnie było wiadomo, że napaść na pocztę to było prawie świętokradztwo, to jednak nie brakowało takich, którzy ani zasad, ani prawa się nie bali.

Trakty bieły lasami tylko wtedy gdy, nie można było ich ominąć. Generalnie podróźni poruszali się drogami śródpolnymi, od wsi do wsi, między polami i pastwiskami. Niekoniecznie były to drogi najkrótsze, były one przede wszystkim szerokie. Pole widzenia pozwalało wcześniej zauważyć jakieś grożące niebezpieczeństwo ze strony bandytów lub dzikich zwierząt. Nie było też zwalonych po burzy drzew lub innych niespodziewanych przeszkód terenowych, jakie na ogół występują w lesie.

Ten, może przydługi, wywód był potrzebny, aby wyjaśnić, jak mogła niegdyś bieć trasa pocztyliona w naszej gminie. Jeśli posiada się wiedzę o starych, już nieistniejących drogach, to wyznaczenie przebiegu trasy jest dość proste. Do oznaczania dróg nie stosowano kamieni, a kierowano się przydrożnymi drzewami, które rosły setki lat, bo dawały schronienie i cień w czasie krótkotrwałych postojów. Te drzewa pokonywane były tylko przez upływający czas lub płonęły od uderzenia pioruna.

Moim zdaniem pocztylion jechał z Oskowa do obecnego obelisku, dalej do Heidekrug, stamtąd przez obecnie istniejące lotnisko wojskowe, przez pola Zewitzer Boor do Cewic. Przed wybudowaniem lotniska nie było tam wielkiego lasu, lecz wrzosowiska i dwa folwarki: Zewitzer Boor i Labuhner Boor ze stodołami, gdzie gromadzono siano z łąk (Wiesen unter Linden) leżących wzdłuż rzeki Bukowiny. Ślady po folwarkach nadal są widoczne po południowej stronie ogrodzenia lotniska. W rejonie starego radaru świetnie zachowały się fragmenty

dróg i starodrzew przydrożny. I to tamtędy, być może, jechał pocztylion do Cewic. W Cewicach mógł zatrzymać się przy gospodzie „Pusty Dzban”, która znajdowała się dokładnie w tym samym miejscu, gdzie dziś jest bar w centrum wsi i kierując się na wschód, przejechał koło dworu, okrążył od południa park i staw, i dalej przez pola, wąski pas lasu, przejeżdżał drogą przez osowskie pole do rozstajów w miejscu, gdzie jeszcze kilka lat temu stała osowska polna stodoła. Stodołę z desek złodzieje rozkradli, ale rozstaje pozostało i do dziś wygląda jak najprawdźniejsze skrzyżowanie dróg. To miejsce łatwo znaleźć. Około 200 metrów od tego miejsca na północ, na pagórku, jeszcze niedawno stała drewniana wieża, punkt triangulacyjny, którą można było oglądać po prawej stronie, jadąc z Cewic do Lęborka. Od opisanego skrzyżowania droga prowadziła prosto do Osowa i wjeżdżało się do wsi od strony pól, a resztki tej drogi jeszcze istnieją w wąwozie niedaleko osowskiego parku. Pocztylion nigdy nie jechał tą drogą, nie wjeżdżał do Osowa, lecz na rozstaju skręcał lekko w prawo i jechał w kierunku Łebuni starą drogą, której odcinek istniał jeszcze w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Starsi mieszkańcy Łebuni pamiętają zapewne tę drogę, o której mówiono „droga przy trzech lipach” lub „droga przy spalonej lipie”. Żeby zajechać do karczmy w Łebuni pocztylion musiał zjechać z trasy i objeżdżając zabudowania dworskie Grelów, drogą przez wieś dojechać do karczmy.

Nie wiemy, czy pocztylion wjeżdżał do Łebuni, ale jeśli nie wjeżdżał, to z „drogi przy spalonej lipie” skręcał w prawo i jechał do Bukowiny.



Kościół w Bukowinie około 1930 roku

Po zmianie trasy pocztyliona przez elektora brandenburskiego, do rozstajów przed Osowem trasa była taka sama. Dopiero od tego miejsca nastąpiła zmiana. Pocztylion nie skręcał do Łebuni, ale w stronę przeciwną, do Maszewa. Przecinał obecnie istniejącą drogę bytowską, zjeżdżał w dół przez krótki odcinek leśny i pojawiał się na maszewskich dobrach w pobliżu, wtedy jeszcze nieistniejącej, stacji kolejowej. Jeszcze

400 metrów i pocztynion zajeżdżał przed Kathenkrug. Od karczmy do Maszewa było już blisko drogą między łąką i lasem. Z Maszewa trasa biegła na północ, drogą przy „Pole na Kamieniu”, tuż obok wielkiego głazu narzutowego nazywanego Diabelskim Kamieniem. Stamtąd już niedaleko było do karczmy (Mallschutzerkrug) przed Małoszycami i do samych Małoszyc, a dalej do Lęborka.



Pałac w Okalicach w latach trzydziestych XX wieku

W latach 1970–1972 pracowałem w Osowie i często zdarzało mi się pokonywać osowskie pola bryczką – dwukółką zaprzęzoną w jednego konia. Wielkie pola pocięte były drogami polnymi na mniejsze, kilkudziesięciohektarowe obszary. Tak ukształtowane pola funkcjonowały od

setek lat, uprawiane przez różnych, kolejnych właścicieli, a dzielące je drogi polne służyły kolejnym gospodarzom. Działo się tak do niedawna. Postęp w uprawach polowych, pełna mechanizacja prac, drogie, wielkie agregaty uprawowe oraz wielkie maszyny do zbioru plonów wymuszają tworzenie pól większych, usuwanie przeszkód terenowych w postaci pojedynczych drzew, śródpolnych kamieni i bagienek, a także starych dróg. Tak stało się niedawno na osowskich polach. Nowi właściciele dokonali połączenia polaci gruntu, zmieniając całkowicie wygląd pól.

Jechałem więc tą dwukółką i akurat w okolicach polnej stodoły postanowiłem na skrót dostać się do Cewic, najlepiej polną drogą, bo podkuty koń źle znosił bieganie po asfalcie. Na rozstaju wjechałem w starą drogę. Droga była wąska, zarośnięta, bo mało używana, ale jednak przejezdna, gdyż od czasu do czasu korzystał z niej jakiś traktor. Powoli zbliżałem się do ściany lasu i ciągle rosły moje obawy, że na tym lesie skończy się moja podróż tą drogą. Już z odległości kilkudziesięciu metrów zobaczyłem, że droga biegnie dalej przez stary las, a przy tym jest znacznie szersza od tej w polu. Kiedy dojeżdżałem do lasu, moją uwagę przykuły dwa zmurszałe słupki, wysokości około 3 metrów, stojące w odległości około 1 metra, może nieco mniej, od siebie. U ich podnóża leżał spory kamień porośnięty plackami gęstego mchu. Wszystko to razem tworzyło bardzo symetryczną kompozycję, ale miejsce wydawało się dla tej kompozycji niewłaściwe. I to wszystko razem mocno mnie zaintrygowało. Zatrzymałem konia, przywiązałem lejce do jakiegoś drzewka i podszedłem do tego dziwnego obiektu. I wtedy ujrzałem coś w rodzaju zbitej z desek płyty. Stało się jasne, po co ustawiono słupki.

Przybita kiedyś do słupków tablica spadła i stała między słupkami a kamieniem, oparta o kamień, skrywając jakiś napis. Drewno tablicy było mocno zniszczone, czarne, zmurszałe, natomiast przednia strona, ta z napisami, była w dużo lepszym stanie i zachowała ślady napisu. A napis był w języku niemieckim. Niewiele dało się odczytać, ale te zachowane fragmenty zdań, które wtedy odczytałem i zawsze mnie intrygowały, ułożyły się w jakąś całość po latach, gdy dowiedziałem się o zdarzeniu z pocztylionem. Pamiętam pojedyncze słowa: „Lewi”, „stein”, „ermordet”, „Sellon...”. Kilku odczytanych słów nie zapamiętałem, a napis był dość długi. Choć tablica musiała w jakiś sposób dotyczyć zamordowania pocztyliona, to doskonale pamiętam, że pisało tam „Lewi” a nie Levin, „Sellon...” a nie Salon... Co do „a” mogę się mylić, pamiętam jednak, że były dwa „l”.

I jeszcze kamień. Polny głaz, kształtny, od frontu w kształcie dość regularnego trójkąta. Po oczyszczeniu kamienia z mchu ukazał się krzyż niezbyt wprawnie wykuty w tym kamieniu.

Jestem głęboko przekonany, że to w tym miejscu został napadnięty i zamordowany pocztylion Salonky. Nie wydaje mi się, że tablica pamiątkowa, to ta sama, którą wykonano w 1782 roku czy nieco później. Żadna deska nie przetrwa blisko 200 lat w wilgotnym, leśnym powietrzu. Tablica ta musiała być zrobiona później i zastąpiła pierwszą, zniszczoną przez czas. Słowa, które czytałem, pisane były literami łacińskimi, takimi jakich używamy dzisiaj. Pod koniec XVIII wieku oficjalne pisma, a szczególnie tablice pamiątkowe, pisane były inaczej i pierwsza tablica z pewnością pisana była literami gotyckimi: schwabacherem lub frakturą.

Niedawno, po latach odwiedziłem to miejsce powtórnie. Miałem spore problemy z jego znalezieniem. Polne drogi zrównano i obsiano, zmienił się las, pośród starych drzew pojawiły się młode. Nie szukałem już tablicy ani słupków, chociaż miałem cichą nadzieję, że coś może przetrwało.



Kamień z krzyżem w miejscu zamordowania pocztyniona Salonky

Szukałem kamienia, bo jego czas się nie ima. Chodziłem tak kilka godzin, coraz bardziej, w moim przekonaniu, zbliżając się do szukanego miejsca, gdy nagle przeraziłem się. Zbliżałem się do partii lasu, gdzie ktoś z użyciem koparki wybierał i wywiózł duże kamienie prawdopodobnie na sprzedaż lub jakąś budowę. Po wielkich głazach pozostały tylko doły. Chodziłem jednak dalej, choć już ogarnęło mnie zwątpienie w powodzenie tej całej eskapady, gdy nagle poczułem, że to jest tu, pod tym wielkim bukiem. Tu musi być to miejsce. Zacząłem odsuwać porzrucany, pozostały po wycinkach stary chrust i znalazłem. Ten sam duży kamień z krzyżem. Po tablicy i słupach nie było śladu.

Pocztylion powoli opuszczał ziemie gminy Cewice, wspinając się skrajem lasu po piaskowej drodze w kierunku Wielkiego Kamienia i dalej Małoszyc. Z góry widać było malutką wioskę na stoku pagórka i młyn nad strugą.

Pocztylion nigdy nie przejeżdżał przez Osowo (niem. Wussow). Po cóż miałby tam wjeżdżać? Do wsi, a właściwie do dworu, prowadziła tylko jedna droga, ta właśnie od rozstajów pod Cewicami. Można było dojechać od wsi Osowo do Łebuni, ale wąska droga prowadziła tam przez las, strome pagórki i bagna.

Gdy w latach osiemdziesiątych XIX wieku rozpoczęto budowę drogi z Sierakowic do Cewic, która na odcinku od Sierakowic do Puzdrowa, dziś, biegnie według ówczesnego projektu, niemało starań i pieniędzy dołożyli do projektu właściciele majątków w Łebuni i Osowie, aby uzyskać znany nam dziś przebieg tej drogi z Puzdrowa przez Bukowinę, Łebunię i Osowo do spotkania z drogą Bytów – Łębork. Podobno po

zakończeniu prac budowlanych, budowniczości drogi, przedstawiciele władz Łęborka i sponsorzy z Łębuni i Osowa spotkali się na sutym poczęstunku w pobliżu miejsca spotkania dróg. Pod wielkim dębem przy nowym domku dróżnika rozstawiono stoły, za którymi zasiedli goście. Nie da się przecenić znaczenia nowego połączenia dla Bukowiny, Łębuni i Osowa. Przede wszystkim miało to kolosalne znaczenie przy lokalizacji stacji Osowo na powstałej wkrótce linii kolejowej, łączącej Łębork z Bytowem, przy lokalizacji elektrowni na rzece Okalicy, a nade wszystko ułatwiało przewóz produktów rolnych, w tym owoców z Łębuni do Maszewa i być może z Osowa do Maszewa. Radość z wykonania dobrej, znaczącej roboty musiała być wielka, bowiem skończyła się tłuczeniem użytego na uroczystości szkła o pień wielkiego dębu. Szkło w tamtych czasach było towarem raczej drogim i deficytowym, dlatego wieść o tym zdarzeniu rozeszła się szeroko i znalazła licznych naśladowców. Ambicją nowożeńców było, by jadący z kościoła korowód ślubny zajeżdżał pod dąb na skrzyżowaniu. Młodzi wypijali wódkę „na szczęście”, a kieliszki tłukli na pniu drzewa. Podobnie postępowali goście weselni, trudno jednak przypuszczać, by wszyscy tłukli drogie szkło weselne. Świadczą o tym ślady znalezione w ziemi po wycięciu umierającego starego dęba w 2008 roku. Podczas równania terenu odsłonięto setki kilogramów szkła z kieliszków, lampek do wina, eleganckich szklanek do koniaku, a także butelek, słoików, glinianych pucharków, kubków i dzbanków. Niezorientowani robotnicy sądzili, że trafili na stare wysypisko odpadów szklanych.

Po wybudowaniu nowej drogi nastąpił szybki rozwój osowskiego majątku. Wszystkie stare, ale solidne budynki gospodarcze wybudowano

według nowoczesnej techniki. Powstał też wodociąg i kanalizacja we dworze, obejście i drogi wewnętrzne utwardzono kamieniami. Von Stülpnagelowie byli dobrymi gospodarzami, lecz gdy jedni zajmowali się swoimi majątkami, inni służyli w wojsku, od najdawniejszych czasów zajmując najwyższe stanowiska w armii. Jednemu z nich, generałowi Carlowi von Stülpnagel, powierzył Adolf Hitler, po zajęciu Francji, stanowisko wojskowego namiestnika tego kraju. Znalazł w nim gorliwego wykonawcę rozkazów „wodza” i realizatora jego wizji. Generał von Stülpnagel, między innymi osobiście nadzorował wysiedlenie z Paryża i skierowanie do obozów koncentracyjnych ponad 25 000 francuskich Żydów. Po klęsce stalingradzkiej i ruszeniu alianckiego drugiego frontu stało się jasne, że tej wojny Niemcom nie uda się wygrać i dla wielu zadbanie o własną skórę stało się sprawą nadrzędną. Generał związał się organizatorami spisku na życie Adolfa Hitlera. Spiskowcy próbowali porozumieć się z premierem Anglii Winstonem Churchillem w sprawie przyszłości Niemiec po zabiciu Hitlera i jednocześnie organizowali zamach. Po otrzymaniu informacji o śmierci Hitlera zadaniem generała von Stülpnagel było aresztowanie oficerów ss stacjonujących w Paryżu i okolicach. Do zamachu doszło w lipcu 1944 roku w „Wilczym Szańcu” koło Kętrzyna. W bezpiecznej kwaterze Hitlera pułkownik von Stauffenberg, wezwany na naradę, pod biurkiem wodza podłożył teczkę z ładunkiem wybuchowym i włączonym zapalnikiem. Ładunek wybuchł, ale gruby blat mebla ochronił Hitlera, który doznał tylko nielicznych drobnych okaleczeń. Do Paryża dotarła informacja, że w kwaterze wodza doszło do wybuchu i że Hitler nie żyje. Zgodnie z planem von Stülpnagel przystąpił do realizacji

swojej części zadania. W ciągu jednej doby aresztowano i zamknięto około 5 000 oficerów członków ss. Wiadomości następnego dnia były dla zamachowców porażające. Hitler przeżył zamach i rozpoczął polowanie na zamachowców. ss-mani zostali zwolnieni z aresztu, a generał von Stülpnagel, podobnie jak inni zamachowcy i podejrzani o udział, zostali aresztowani i wkrótce rozstrzelani. Nie dano mu nawet szansy na honorowe popełnienie samobójstwa.

Po okresie „panowania” Grelów Maszewo dość często zmieniało właścicieli i niewiele się tu działo, aż do grudnia 1905 roku, kiedy to radca handlowy Robert Sinner z Karlsruhe nabył Maszewo, jak również Cewice i Łebunię. Radca zarządzał potężną, odziedziczoną po ojcu spółką produkcyjno-handlową, szybko ją rozwijał i właśnie w Maszewie wybudował fabrykę drożdży prasowanych, w które zaopatrywał rejon Pomorza Wschodniego i Prus. Wkrótce wybudował fabrykę win i likierów i przystąpił do zakładania ogrodnictwa z podgrzewanymi szklarniami. W sąsiedztwie gorzelnii powstała potężna obora, w której opasano młode bydło wytłoczynami z produkcji alkoholi. Zakłady Sinnera w Maszewie zatrudniały zawsze około 160 pracowników, z czego większość mieszkała w Maszewie. Pozostali pracownicy dochodzili do pracy z sąsiednich miejscowości, a nawet z Polski, najczęściej przez „zieloną granicę”.

Budowa fabryki pociągnęła za sobą błyskawiczny rozwój miejscowości. Zbudowano osiedle dla robotników (obecna ulica Drewniana) i kadry nadzorczej (obecna Murowana). Położone przy obu ulicach budynki znajdujące się bliżej lasu zamieszkiwali robotnicy o niższych kwalifikacjach.

Budynki mieszkalne ogrzewane były drewnem i torfem, ale w kotłowni gorzelni, fabryki drożdży i fabryki likierów palono węglem. W tym celu, ze stacji kolejowej w Maszewie do fabryki Sinnera, powstała podwieszona kolejka linowa, która podwieszonymi wózkami dostarczała węgiel prosto do kotłowni.



Zakłady Roberta Sinnera w Grünwinkel, na których wzorował budowę fabryki w Maszewie

Robert Sinner przeniósł do Maszewa wzory z Grünwinkel. Ulice zostały wybrukowane, place w fabryce także, wybudowano kantinę i szkołę. We wsi był także świetnie zaopatrzony sklep. Poza towarami,

które występowały w sklepach na okolicznym rynku, w maszewskim sklepie można było kupić, nieznanne tu wcześniej, konserwy i przetwory warzywno-owocowe. Te ostatnie sprowadzane były z Grünwinkel, ale Sinner dążył do przetwórstwa warzyw i owoców z lokalnych ogrodów, a w szczególności z założonego ogrodnictwa w Maszewie.

Korzystając z mało uprzemysłowionego rynku na Pomorzu, maszewska fabryka oparła się kryzysowi lat trzydziestych. Gdy w całej Europie i Ameryce zamykano fabryki, w Maszewie nie został zwolniony ani jeden robotnik. Nawet robotnicy, którzy dochodzili codziennie do pracy z Polski, przekraczając nielegalnie granicę między Łebunią a Okalicami, nadal dźwigali swoje torby z zakupami dokonanymi w maszewskim sklepie. Nie odczuli, że na świecie szalał kryzys, bezrobocie, głód.

Jak wcześniej w historii, tak i teraz losy Maszewa, Cewic i Łebuni miały wspólną historię. Miały tego samego właściciela. Robert Sinner – generalny dyrektor spółki handlowej w Karlsruhe, w Maszewie zbudował opisane już fabryki drożdży, marmolady i konserw, i zarządzał nimi osobiście za pośrednictwem powołanych przez siebie zarządców. Majątek Łebunię wraz z dworem, zabudowaniami gospodarczymi, lasami i większością pól przekazał do użytkowania i zarządzania swojemu zięciowi, oficerowi rezerwy w stopniu kapitana – Gustavowi von Rotteck, a dwór w Cewicach z przyległą niewielką ilością gruntów swojemu synowi Rudolfowi.



Ulica w Cewicach w latach trzydziestych XX wieku

Rudolf Sinner zajmował się przez kilka lat tym niewielkim gospodarstwem do czasu, gdy w latach dwudziestych nabył od fiskusa dużą połąć gruntów i lasu położonych między Cewicami i Siemirowicami. Głównym jednak jego zajęciem było śledzenie pracy ojca, by stać się kiedyś jego następcą w firmie. Wiele podróżował pomiędzy Karlsruhe, Grünwinkel i Maszewem, aby poznać zasady pracy konsorcjum i w swoim czasie godnie zastąpić bardzo oddanego firmie i wymagającego ojca. Miał na

to mało czasu. To nie on miał przejąć schedę po ojcu, a jego starszy brat Robert. To Robert, pierworodny syn, starszy o 6 lat od Rudolfa, towarzyszył ojcu w podróży do Maszewa, by obejrzyć świeżo zakupione, czekające na przemysłowe zagospodarowanie tereny rolnicze, raczej słabej ziemi, ale taniej i świetnie położonej.



Wiadukt kolejowy nad rzeką Bukowiną w Oskowie w 1935 roku

aby zjadły wszystkie wytłoczyny powstające w procesie planowanej produkcji i położona tak blisko fabryki, aby transport paszy nie powodował dużych kosztów. Na końcu obory zaplanowano budowę magazynu na kiszonki z trawy i wytłoczyn. Trzy potężne pionowe silosy z nowoczesną wyciągarką wystarczą na wykarmienie bydła na 200 stanowiskach. Dla ograniczenia zatrudnienia pasza miała być rozwożona podwieszoną kolejką szynową do koryt. Obornik wywozić miano inną kolejką, także podwieszaną.

Dziś można pomyśleć, że Sinnerowie mieli obsesję na punkcie kolejek. Kolejka szynowa do paszy, kolejka szynowa do obornika, kolejka linowa do transportu węgla ze stacji kolejowej do kotłowni. Dużo tego, ale to wszystko działało później bardzo sprawnie, ułatwiając wiele prac. Kolejka do węgla po pięćdziesięciu latach pracy czasami się zacinała, a kolejki w oborach nie psuły się nigdy i pracowały do lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku.

Technologię kolejek w obiektach inwentarskich zaczęto stosować w Polsce dopiero w dużych obiektach w latach siedemdziesiątych, tak więc Sinnerowie wyprzedzili epokę o około 60 lat. Robert Sinner – ojciec był niezwykle utalentowanym przemysłowcem, dobrze wykształconym prawnikiem. Zanim w 1883 roku, po swoim przedwcześnie zmarłym ojcu Georgu, przejął położone w Karlsruhe przedsiębiorstwo, spędził w nim wiele lat, codziennie przez wiele godzin poznawał pracę i zasady funkcjonowania firmy. Później zakładał nowe fabryki. Najpierw w Grünwinkel w 1885 roku, obok założonej jeszcze przez swojego dziada Antona Sinnera wytwórni win, zaczął budować gorzelnię i wytwórnię drożdży prasowanych



„Dora” Wilhelmina z domu Bilfinger, żona Rudolfa Sinnera

i konserw, później w innych miastach Badonii i Szwajcarii, a w końcu w Gross Massow (Maszewie). Młody Robert ożenił się w roku 1912 z Dorą Wilhelminą Bilfinger, a w roku 1914 wybuchła wojna i w stopniu porucznika poszedł na wojnę i poległ w miejscowości Gri-court we Francji. Po śmierci starszego brata edukację przy ojcu zaczął Rudolf, drugi syn, najmłodszy z dzieci Sinnera.

W 1916 roku ożenił się z Dorą Wilhelminą – bratową wdową. W 1920 roku Robert Sinner przeszedł na emeryturę, a jego miejsce w zarządzie wielkiej firmy zajął trzydziestosześcioletni Rudolf. W 1932 roku zmarł Robert Sinner, a Rudolf Sinner zaczął interesować się narodowym socjalizmem. Jego relacje z nazistami nie są do końca jasne, niemniej w jego domu w Cewicach, w czasie wojny, stale przebywali oficerowie SS.



Ks. Prałat Edmund Roszczyński (1888–1939)

Powstało tam kasyno dla oficerów i to właśnie w piwnicy jego domu więziony był ksiądz prałat Roszczyniański z Wejherowa, zanim został zamordowany w cewickim parku dworskim.

Zanim wybuchła druga wojna światowa, Rudolf Sinner po przejęciu kierownictwa nad firmą, wiele uwagi poświęcił rolniczej części działalności przedsiębiorstwa w Maszewie. Rozbudował ogrodnictwo, zbudował ogrzewane szklarnie, w których uprawiano pomidory i ogórki, a zimą również kwiaty, które chętnie nabywali łębscy i słupscy kwiaciarze. W polu z powodzeniem uprawiano na słabej ziemi dość wymagające warzywa i rośliny jagodowe. Te były przerabiane na marmolady. Po 1925 roku produkowano również konserwy warzywne i owocowe. Owoce pochodziły z własnego sadu w Maszewie, również z sadu jego siostry i szwagra Louisy i Gustava von Rotteck w Łebuni.



Obraz olejny nieznanego autora przedstawiający pałac w Łebuni w 1935 roku

Majątek w Łebuni zakupił Robert Sinner dla swojej córki Louisy w lutym 1905 roku i na początek uczynił go częścią powstającej firmy w Maszewie. Zbudowano gorzelnię, z której do produkcji likierów w Maszewie wykorzystywano spirytus, a wywar doprowadzano rurociągiem do dużej obory, gdzie zimą wykorzystywany był jako pasza.

Louisa w 1910 roku poślubiła trzydziestodwuletniego oficera rezerwy w stopniu kapitana, Gustava von Rotteck, który przejął kierowanie

gospodarstwem. Gustav Fridrich Karl von Rotteck pochodził z Baden-Baden, z bardzo starej i zasłużonej, zwłaszcza dla nauki, rodziny. Był człowiekiem bardzo skromnym i łagodnym. Jego pasją była jazda konna i polowania. A było gdzie polować. Do majątku należało 1451 hektarów ziemi, w tym 823 hektary lasów bogatych we wszelką zwierzynę. Ulubionym miejscem polowań Gustava von Rotteck były łąki pod Siemirowicami, nazywane Wiesen bei Linden. Tam właśnie można było obserwować najpiękniejsze jelenie. Jednak największe zwierzę ustrzelił na polowaniu koło Maszewa w 1917 roku. Jak odnotowano w kronice łowieckiej „pan von Rotteck – Labuhn ustrzelił swojego 24-ego jelenia, którego poroże ważyło 18,5 funtów”. Rekord wagi jeleniego poroża został pobity dopiero w 1939 roku na polowaniu w Gotendorf. Nie było to jednak udziałem pana na Łebuni. Schorowany, zaniepokojony wydarzeniami po zamachu w 1933 roku, jawnie przeciwny rodzącemu się hitlerowskiemu, narodowemu socjalizmowi, w rozdarłej rodzinie, gdzie jego żona i szwagier Rudolf sympatyzowali z nowym ruchem politycznym, zmarł w 1935 roku. Pochowany został na własnym polu. Niedaleko dworu, 150 metrów na południe od parku, uformowano niewielkie wzgórze, a na jego szczycie pochowano Gustava von Rotteck. Zgodnie z jego życzeniem ubrany był w ubranie, w którym poruszał się na co dzień, nadzorując pracę w swoim majątku, bez jakichkolwiek ozdób ani kosztowności. Jak po latach powiedział jego syn Fridrich Karl: „żył skromnie, umarł przedwcześnie i spoczął skromnie”. Na zwykłej kamiennej, prostokątnej płycie wyryto napis „Gustav Fridrich Karl von Rotteck, aus Baden Baden, 1871–1935”. Obok stanął kilkumetrowej wysokości drewniany krzyż. Do grobu prowadziły

drewniane, zbudowane z ciosanych belek, kilkumetrowej szerokości schody. Podejście podzielone było na cztery półpiętra, po pięć stopni każde. Koronę wzgórza obsadzono świerkami, a u podstawy tego płaskiego kurhanu posadzono pierścień młodych dębów.



Grób Gustava von Rotteck w Łębuni w 1935 roku

Po śmierci męża w 1935 roku, Louisa von Rotteck sama prowadziła gospodarstwo, z pomocą syna Fridricha Karla. Nigdy nie uczyniła go właścicielem, zawsze był następcą, bowiem według matki był, podobnie

jak ojciec, zbyt łagodny dla robotników. Fridrich, z racji, że nie miał obowiązków właściciela majątku, trafił w końcu na front, ale kariery wojсковej tam nie zrobił, bo jego zdanie na temat narodowego socjalizmu i austriackiego kaprała było zbliżone do zdania ojca. Pracą w gospodarstwie zanadto się nie przejmował, choć znał się na tym, lubił konną jazdę, polowania i... kobiety.

Matka świetnie dawała sobie radę z prowadzeniem gospodarstwa, z utrzymywaniem dyscypliny wśród przysłanych „na roboty” Polaków. Nie było specjalnych problemów z polskimi dziewczętami pracującymi w kuchni czy na pokojach, ale z chłopakami, zwłaszcza jednym z Pałubic, bywało różnie. Ci młodzi ludzie, przysłani na przymusowe roboty zaledwie kilka kilometrów od Labuhn, mieli swoje rodziny. W Pałubicach, Liniewie, Skrzeszewie czy Kowalach mieszkali ich rodzice, dziewczyny. Zdarzały się przypadki ucieczek, przysypiania w pracy czy zwykłego lenistwa. W takich przypadkach pani Louisa czasami korzystała z usług łęborskiego gestapo i szybciotko wszystko w Łebuni wracało do normy. Przywołany do porządku, już nawrócony, jakiś czas nie mógł siadać, a na plecach długo goiły mu się ślady po bykowcu. Panowie z Gestapo znali się na robocie. Robotnik po rozmowie z nimi wracał chętny i sprawny do pracy.

Praca w łebuńskim majątku niekoniecznie kojarzyła się z batem lub gestapo. Tradycją u Sinnerów było dbanie o pracowników. Ojciec, Robert Sinner, wpoił to swoim dzieciom, a pani von Rotteck pochodziła z Sinnerów. Karmiono tu dobrze, warunki mieszkaniowe nawet jeńcy mieli niezłe, a niektórzy, zwłaszcza dziewczęta, dojeżdżały codziennie

rowerami do swoich domów w Skrzeszewie lub dalej. W zamian wymagane były absolutne posłuszeństwo i solidna praca.

Mama Louisa dbała również, aby syn Fridrich Karl obracał się we właściwym towarzystwie i znalazł odpowiednią towarzyszkę życia. Gdy zdarzyło się, że posunął się za daleko z Niemką z niewłaściwej sfery, mama Louisa szybko znalazła dziewczynie narzeczonego, a młodzi otrzymali ładne nowe gospodarstwo i kawałek ziemi, z której mogli się utrzymać.

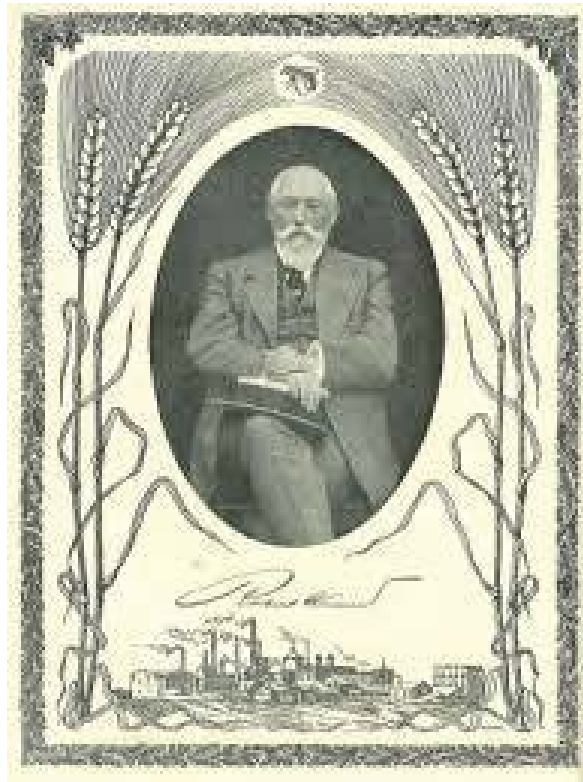
To dostatnie, spokojne życie na wsi trwałoby długo, ale przyszedł rok 1945. Nadchodzący Rosjanie wymusili ucieczkę miejscowej ludności. Wszyscy uciekali rodzinami na zachód. Pieszko, ciągnąc niewielkie wózki z podstawowymi przedmiotami, inni na wozach zaprzężonych w konie, załadowanych dobytkiem i inwentarzem, a pani von Rotteck z synem i jej brat Rudolf Sinner z żoną Dorą i dziećmi pojechali na zachód do Grünwinkel koło Karlsruhe pociągiem z wagonami wypełnionymi meblami, obrazami, porcelaną i zastawami, które nie miały już wpaść w łapy rosyjskich „towarzyszy”. Był to jeden z ostatnich pociągów, jaki pokonał trasę Osowo – Bytów. Wkrótce tory od stacji Cewice do samego Bytowa zostały rozebrane i wywiezione na wschód. Ta rozbiórka torów, do dziś nieodbudowanych, ma znaczenie symboliczne. Można odnieść wrażenie, że zamknęła bezpowrotnie czas Sinnerów na ziemi cewickiej. Sinnerowie, a zwłaszcza Robert Sinner, swoim talentem organizacyjnym i ciężką pracą zmienił całkowicie charakter wsi Maszewo. Z małej, zapyziałej, feudalnej wsi uczynił prężny ośrodek przemysłowy, zapoczątkował dotąd niespotykany sposób szybkiego budowania mieszkań w formie zorganizowanych, praktycznych osiedli. Przez skup spirytusu na potrzeby wytwórni likierów zainicjował budowę gorzelni w okolicznych

majątkach, a tym samym kooperację między poszczególnymi majątkami. W końcu konkurencyjne cenowo maszewskie prasowane drożdże na wiele lat opanowały cały rynek wschodniego Pomorza i Mazur. Prężna firma Sinnera dawała pracę wielu ludziom. Tradycją w Maszewie było, że stanowiska pracy w fabryce były pokoleniowe. Po ojcu pracował syn, po nim jego syn. Pracowali tu również robotnicy dochodzący z innych wsi, również w budownictwie. Rozbudowywała się wieś, ciągle rozbudowywała się fabryka. Pracy nie było końca. Kryzys lat trzydziestych tej firmy nie dotyczył.

Trzeba pamiętać, że Sinnerowie w swojej rodzinnej miejscowości, Grünwinkel, mieli znacznie większą firmę niż w Maszewie. Tam również trwała rozbudowa, rozwój firmy i miasta. Firma Sinnera była fundatorem wielu miejskich obiektów: muzeum, szkół, mostu. Sfinansowała również przeniesienie zabytkowej kaplicy, której lokalizacja kolidowała z przebudową głównej ulicy miasta. Firma Sinnera istniała w Grünwinkel 140 lat. W 1975 roku, nieudolnie prowadzona przez dwóch prawnuków Roberta Sinnera, została wchłonięta przez inną firmę i przestała istnieć. Miasto nie zapomniało jednak o swoim wielkim obywatelu i dobroczyńcy. W roku 2011 największy plac w mieście, dotąd zwany „placem miejskim”, otrzymał nazwę „Robert-Sinner-Platz”.

Wydaje się, że na przestrzeni dziejów żaden człowiek nie zrobił tyle dla żadnej miejscowości w naszej gminie, co dla Maszewa zrobił Robert Sinner. Całe pokolenia dziś jeszcze żyjących tu ludzi czerpały z jego talentów, pomysłów i jego pracy.

Wczesną wiosną 1945 roku ostatni właściciel dóbr maszewskich Robert Sinner z rodziną i rodziną siostry Louisy von Rotteck pośpiesznie



Robert Sinner (1850–1932) – Dyrektor Generalny Sinner AG

pakowali swoje dobra w skrzynie. Wszystko to wożono na stacje kolejowe w Osowie i Cewicach, by koleją zdążyć uciec stąd, zanim Armia Czerwona odetnie im drogę ucieczki. Mieli mało czasu. Propaganda hitlerowska do końca podawała informację o sukcesach armii niemieckiej,

potem o walce do ostatniego żołnierza, a wszelkie oznaki niewiary w tę propagandę traktowano jak zdradę. Wojska niemieckie cofały się nieustannie na wszystkich frontach. Nadchodzące do mieszkańców Gemeinde Zewitz wieści powodowały, że wszyscy, w maksymalnie dyskretny sposób, przygotowywali się do ucieczki. Nie było dla wszystkich wagonów kolejowych, bo te musiały być do dyspozycji armii. Niewielu dysponowało samochodami, a i ci musieli się liczyć z tym, że w drodze armia im samochody zarekwiruje, a w najlepszym przypadku zabraknie benzyny do dalszej jazdy. Toteż, gdy okazało się, że z tymi sukcesami wojsk niemieckich jest coś nie tak, a nawet pojawiły się komunikaty o ewakuacji przed nadchodzącym wrogiem, nagle na drogach pojawiły się furmanki, dwukółki, a przede wszystkim chłopskie wozy zaprzężone w jednego lub dwa konie. Skrzynie wozów były solidnie wyścielone słomą i siennikami, na przybite drewniane konstrukcje nałożono plandeki, koce lub słomiane maty. Wszystko to przypominało „wozy cygańskie”, którymi można było podróżować i w nich mieszkać.

Wbrew wszelkiej propagandzie, po cichu, w zamkniętej stodole za troskani ojcowie od dawna przygotowywali się do ewakuacji. Przygotowywali wozy tak, aby było w nich wygodnie dzieciom, żeby było ciepło i sucho. Załadowywano paszę dla koni, prowiant na drogę, pościel do spania i najcenniejsze rzeczy. Sprzętów zabierano niewiele, bo przecież jak to wszystko się uspokoi, to wrócą z powrotem. Pozostał też inwentarz, zwłaszcza krowy, bo świnie pozabijano, żeby zapewnić żywność dla całej rodziny na jakiś nieokreślony czas. Krowom naładowano w żłoby siana tyle ile się zmieściło, żeby zwierzęta nie głodowały, czekając

na powrót gospodarzy. I tak, jeden za drugim jechały wozy na zachód. Na wozach jechały dzieci, dorośli szli za nim, często popychając wóz, aby pomóc zmęczonym koniom, gdy koła grzęzły w marcowym błocie. Temu wszystkiemu towarzyszyły myśli, czy dobrze zrobili opuszczając dom, może należało zostać, czy krowa ma jeszcze siano, czy ma co pić. Po pierwszej wojnie Franciszek Józef abdykował, armie się rozeszły. Ci, którzy nie zginęli, wrócili do domów i było po sprawie. Cywilów nikt nie ruszał. Tym, którzy zginęli za ojczyznę, żyjący zbudowali pomniki dziękczynne i życie powracało do normy.

W miarę oddalania się od pozostawionych domów, na skutek docierających wiadomości i przekazów od napotkanych ludzi, narastało przekonanie, że dobrze zrobili, ewakuując rodziny. Z ust do ust przekazywano sobie wiadomości o dziesiątkach tysięcy uciekających samochodami, wozami i pieszo z Królewca zamarzniętą Mierzeją Wiślaną w kierunku portu w Gdyni, o tym jak nadlatują samoloty, strzelają i bombardują, powodując załamywanie się lodu, o ludziach tonących w lodowatej wodzie i błocie. Mówiono o sąsiadach i znajomych, którzy pojechali do Gdyni, aby uciekać drogą morską. Okręt-szpital „Wilhelm Gustloff”, na który udało im się dostać, został zatopiony przez rosyjską łódź podwodną na wysokości Ustki. Z sześciu tysięcy pasażerów uratowała się garść ludzi. Błogosławili Opatrzność ci, którym przed nosem podniesiono trapy z powodu przeładowanych pokładów i na statek nie weszli. Najbardziej niepokoiła możliwość powtórzenia losu tych, którzy uciekali na zachód przez Słupsk. Duża grupa uciekinierów z Prus Wschodnich, z okolic Morąga i Olsztyna, po trzytygodniowej podróży została zatrzymana w okolicach

Sławna i kazano im wracać do domów. Co było robić? Zawrócili. Znow jechali długo, a gdy przybyli do swoich gospodarstw okazało się, że są one zajęte przez polskich uciekinierów i przesiedlonych ze wschodu.

W tym samym czasie, w opuszczonych wsiach gminy Cewice, tworzyła się całkiem nowa rzeczywistość. W Lęborku utworzono urząd starosty. Polski starosta, z przybywających, ale również z Polaków mieszkających tu wcześniej i więźniów Stutthofu, napędce tworzył oddziały milicji ludowej do ochrony ludności, zarówno pozostających tu Niemców, jak i przybywających osadników. Szczególnie chronić trzeba było opustoszałe, duże majątki ziemskie, plądrowane przez cwaniaczków i złodziei. Łupem złodziei padały przede wszystkim maszyny rolnicze, kieraty, rowery i meble, na które w centralnej Polsce było duże zapotrzebowanie. Na porządku dziennym było strzelanie służb ochrony do rabusiów plądrujących opuszczone domy, a nawet te już zajęte przez przybywające rodziny. Najtrudniej było chronić dobytek przed żołnierzami Armii Radzieckiej. Pijane watahy łąziły po wsiach, szukając cennych rzeczy, bimbru i kobiet. Mimo rozkazów swojego dowództwa ignorowali polskich stróżów porządku, toteż często dochodziło do starć także z użyciem broni. Dla nich były to ziemie „trofiejne”, ludność niemiecka to „faszyści”, a polska to „pany”, których zgodnie z linią wieloletniej, radzieckiej propagandy, lubić też nie było za co.

Witold Broda

Rozdział 2

Portrety naszych mieszkańców

Opuszczone gospodarstwa we wsiach przygranicznych z okupowaną Polską zajęte zostały przez nowych osadników najszybciej, przeważnie przez nieposiadające własnej ziemi rodziny z Zakrzewa, Linii, Łyśniewa, Pałubic i innych pobliskich miejscowości. W ten sposób zasiedlono większość gospodarstw w Popowie, Bukowinie, Pieskach, Siemirowicach. W wielu gospodarstwach pozostali ich niemieccy właściciele, lecz większość z nich z czasem została przymuszona do wyjazdu. Nierzadkie były przypadki, że polski „przybysz” wprowadzał się do części mieszkania niemieckiej rodziny i czekał na ich wyjazd, uprzykrzając skutecznie ludziom życie.

Duże majątki ziemskie wraz z zabudowaniami dworskimi i folwarkami zostały przekazane w zarząd Państwowych Nieruchomości Ziemskich i pod kierownictwem „Zespołu” w Łęborku zaczęto organizować rolne ośrodki państwowe, późniejsze Państwowe Gospodarstwa Rolne. Tak zorganizowane zostały wsie Okalice, Łebunia, Osowo, Oskowo, Krępkowice i Unieszyno z Unieszynkiem. Nieruchomość ziemska w Maszewie wraz z drożdżownią na razie pozostawała pod jednym kierownictwem.



Budynek szkoły w Karwicy w latach trzydziestych XX wieku

Na stacje w Lęborku, Maszewie i Cewicach przybywały pociągi załadowane przesiedleńcami ze wschodu. Przyjeżdżali, zmuszani do opuszczenia swoich domów, ojcowizn, z niewielkim dobytkiem i inwentarzem żywym, jeśli udało się wytrzymać trudy podróży. Kwaterowani byli po kilka rodzin w jednym domu, po czym przystępowano do przydzielania gospodarstw poniemieckich. Pierwsze dni w nowych kwaterach, w obcym miejscu, były bardzo trudne. Przydzielane działki trzeba było uprawiać, żeby żyć. Ale jak? Brak było narzędzi, ziarna siewnego, maszyn.



Powóz przed szkołą w Karwicy w 1928 roku

Wszystkiego. Typowa dla tych czasów była sprawa grupy przesiedleńców z Korczmina w powiecie Tomaszów Lubelski. Przywiezieni w 1947 roku, zostali osiedleni w Krępkowicach i Karwicy, którą wtedy nazywano Wzniesienie od niemieckiego Gerhardshöhe. Osiadłym w Krępkowicach naprędce przydzielono mieszkania w przydworskich czworakach i kilkuhektarowe połączenie gruntu z pociętej na parcele ziemi grafa den Osten. Tych zakwaterowanych na Wzniesieniu przydzielono po kilka rodzin na

duże gospodarstwa, wcześniej należące do: Richarda Venzke, (65 ha), Gustava Manske (39 ha), Kurta Zastrow (38 ha), Ewalda Schimanke (47 ha) i kilku mniejszych około dwudziestohektarowych gospodarstwach.

Większość zabudowań była wcześniej splądrowana. Brakowało maszyn, przywiezionych ze wschodu koni było niewiele. I wtedy pojawiła się niespodziewana pomoc sąsiedzka. Gospodarzący z dziada pradziada na 60 hektarach w Vorposten (obecnie Krępkowo) Karl Alff pomógł bezradnym osadnikom uprawić i obsiać ich gospodarstwa. Maszyny rolnicze, które posiadał Karl Alff, wielu osadników widziało po raz pierwszy w życiu, chociaż niektórzy z nich pozostawili w Korczminie duże, dobrze prosperujące gospodarstwa. Takie życie w gromadzie i praca z wzajemną pomocą trwały do 1950 roku. Ci zamieszkali w Krępkowicach, musieli zwrócić ziemię w Krępkowicach, bo władze tworzyły tam gospodarstwo państwowe, podległe pod majątek państwowy w Łebuni. I znów Korczminianie zamieszkali w jednej wsi, w Cewicach. Poprzydzielano im gospodarstwa po ostatnich wysiedlonych Niemcach i wcześniej już zajęte i ponownie opuszczone przez Polaków, którzy jakoś nie mogli sobie miejsca znaleźć i poszli szukać dalej. Większość gospodarstw była splądrowana, ale przynajmniej przydzielając takie gospodarstwo, nowa władza kierowała się wielkością gospodarstw pozostawionych w Korczminie. Nie do końca jednak. Przydzielone wraz z ziemią przynależne lasy nie zostały osadnikom wpisane do „aktów nadania”. Na protesty odpowiadano, że to tylko tymczasowo. Później, po pomierzeniu wszystkiego, lasy zostaną nadane. Osadnicy wierzyli władzy, bo i te powierzchnie w aktach nadania zapisane, określone zostały zwyczajowo, bez pomiarów. Wtedy

na pomiary nie było czasu. Kiedy jednak do pracy przystąpili miernicy i zostały sporządzone nowe „akty nadania” z wpisaną pomierzoną powierzchnią, okazało się, że lasów rolnikom nie oddano. Powierzchnie zalesione zostały upaństwowione.

Przenosiny z Krępkowic do Cewic przebiegały sprawnie. Nowa władza w celu zachęcenia rolników do przeprowadzek płaciła, zwracając jej koszty i chętnie przydzielano nowe gospodarstwo wybrane przez rolnika osobiście.

Z zachowanych dokumentów wynika, że na początku inicjatywę oddawano osadnikowi. Pisał więc:

J... A...

Cewice dnia 29.IX.50 Krępkowice

Gm. Cewice pow. Lębork

Do

Prezydium Powiatowej Rady Narodowej

w Lęborku

przez Gminną Radę Narodową

w Cewicach

Podanie

Ja, niżej podpisany. J... A... wnoszę o przyznanie mi gospodarstwa rolnego położonego w gromadzie Cewice użytkowanym przez ob. Adamka Jana o obszarze 15 ha, na miejsce odebranego mi przez regulacje gospodarstwa w Krępkowicach na rzecz PGR Zespół Łebunia.

Prośbę tą motywuję tym że jestem rolnikiem i gospodarstwo po ob. Adamku jest dla mnie odpowiednie.

J... A...¹

Już po niespełna dwudziestu dniach rolnik otrzymał zawiadomienie, że gospodarstwo zostało mu przydzielone, a po dziesięciu dniach przejmuje je protokolarnie:

Cewice dnia 28.X 1950 r.

Prezydium
Gminnej Rady Narodowej
w Cewicach

Protokół

Przejęcia gospodarstwa rolnego w związku z zrzeczeniem się dalszego użytkowania przez ob. Adamka Jana

Prezydium Gminnej Rady Narodowej działając na podstawie pisma Prezydium Powiatowej Rady Narodowej Referat Osiedleń z dnia 18X1950 r. Nr osiedl ... reprezentowany przez Ob. XX referat Rol. PGRN przyjął od ob. Adamka Jana w obecności ob. K... A... sołtysa tutejszej gromady i ob. O... M... gospodarstwo rolne od ob. Adamka Jana wg. niżej podanego stanu gospodarstwa

I. Ziemia

¹ Pisownia oryginalna.

Powierzchnia ogólna 13,49 ha w tym 12 ha gruntów ornych
zasianych w dniu objęcia przez zrzekającego się:

żyto 3,5 ha

II. Budynki i urządzenia

Stan obecny:

Dom mieszkalny średni

Stodoła średni

Chlew i obora zły

III. Inwentarz żywy i zapasy

Stan obecny: siewnik rządowy stan średni, śrutownik stan średni, pług trzyskibowy stan zły, 3 brony ciężkie, 1 radło stan zły, sieczkarnia stan średni, waga o nośności 300 kg stan średni, brukwi arka stan zły, dołownik stan zły, sanki stan zły.

b) inwentarz żywy 1 koń, który padł.

Inne uwagi itd.

Podpisy²

6 grudnia rolnik dostarczył do prezydium GRN dowód, że przeprowadził się do Cewic.

² Pisownia oryginalna.

Zaświadczenie

Niniejszym zaświadcza się iż ob. J... A... zamieszkały w gr. Krępiechowce gm. Cewice objął gospodarstwo rolne po Adamku Janie w Cewicach o obszarze 13,49 ha w tym ornej 12 ha, lasu 1,49 ha, a więc ziemi uprawionej 6 ha, a 6 ha jest odłogiem poniemieckim. A wiec w/w ob. J... A... już się przeprowadził na nową swoją gospodarzkę którą objął po ob. Adamku Janie.

Cewice dnia 6 XII 50 r.
Gromada Cewice
Sołtys

Gmina Cewice³

Całkiem inny los czekał osadnika, który w 1951 roku opuścił rodzinną wieś w powiecie hrubieszowskim, w województwie lubelskim. Jak wynika z posiadanego opisu pozostawionego mienia nieruchomego Z... Z... pozostawił: dom mieszkalny kryty dachówką, oborę i stodołę kryte słomą, betonową studnię i murowana piwnicę. A oprócz tego ponad pięć hektarów ziemi i sadek. Wszystko to zostało spisane i potwierdzone przez Delegata Pełnomocnika Rządu do Spraw Przesiedlania.

3 Pisownia oryginalna.

Mienie tzw. ruchome, które wraz z żoną przywieźli na swoje nowe miejsce, do Łebuni, stanowiły trzy konie, rogacizny cztery, trzody chlewnej jedna i drobiu czterdzieści. Wcale nie tak mało inwentarza w porównaniu do posiadania innych przesiedleńców. Z... z żoną przywieźli także dwa łóżka, kanapę, stół, krzesła, ławki, szafkę i pięć skrzyń, a z narzędzi wóz, brony, pług i kultywator. A z zapasów siedemdziesiąt pięć kwintali zboża, dziesięć kwintali okopowych i sto kwintali siana i słomy. Z tym dość sporym majątkiem osiadł na nadanym 8,5 hektarowym gospodarstwie w Łebuni w czerwcu 1951 roku. W przejętych zabudowaniach gospodarstwa znajdowały się: motor, sieczkarnia, kopaczka, radło, pompa, śrutownik i pług dwuskibowy. Same zabudowania były solidne, murywane, pod dachówką, a dom duży i wygodny.

Brak w dokumentach jakichkolwiek śladów powodów z jakich Z... Z... został aresztowany. Siedział dość długo, bo w grudniu 1952 roku jego żona pisała prośbę o uwolnienie męża.

Łebunia dnia 7.XII.1952 r.

Podanie

Z... I...y żony

aresztowanego Z... Z...

zam. w łebuni gm. Cewice pow. Łębork

Do Prezydium Powiatowej Rady Narodowej
w Łęborku

Proszę o zwrócenie się do Władz Ludowych o wypuszczenie na wolność mojego męża Z... Z..., który swojego czasu został aresztowany. Co mam zrobić z jego gospodarką rolną.

Prosbę swoją motywuję tym że mam chorą rękę jestem sama i nie mogę pracować nawet doglądać inwentarza. Dowód. Świadcstwo lekarskie.

Ponieważ nie jestem zdolna do prowadzenia gospodarki proszę o zwolnienie męża na czas uregulowania i zarządzenia spraw gospodarczych inaczej opuszczam gospodarstwo i wyprowadzam się do rodziców do Polski Centralnej.

Z ... I ...⁴

Siedział człowiek jeszcze jakiś czas, do wyjaśnienia, a długi rosły. Gospodarstwem zajmowali się dwaj dzierżawcy.

W końcu z dawnego miejsca zamieszkania nadeszły dokumenty, potwierdzające, że Z... Z... jest kombatantem. To oznaczało, że jest zwolniony z pewnych podatków, a również nie musi, jako osadnik wojskowy, spłacać otrzymanego gospodarstwa, zwłaszcza że w powiecie hrubieszowskim własne gospodarstwo musiał opuścić „w związku z wymianą odcinków terytorium przygranicznego pomiędzy R.P. a ZSRR”.

Nadal przychodziły wezwania płatnicze. Zadłużenie rosło, więc osadnik pisze:

Łebunia, dnia 18 XII 1959 r.

Z... Z...

Łebunia, pow. Łębork

Prezydium Powiatowej Rady Narodowej

Wydział Urzędzeń Rojnych

w Łęborku

W 1951 r. zostałem przesiedlony z miejscowości Z... Pow. Hrubieszów z powodu tego, że miejscowość ta została przejęta przez ZSRR i tam pozostawiłem 5.18 ha ziemi wraz z zabudowaniami.

W związku z powyższym osiedliłem się w Łebuni gdzie nadano mi gospodarstwo rolne jako rekompensatę. Ponieważ zdarzają się wypadki, że otrzymuję nakazy do płacenia P.F.Z. któremu nie podlegam, wobec tego proszę o uregulowanie tejże sprawy celem spowodowania

aby mi nie wysyłano podobnych nakazów gdyż może to spowodować niepotrzebne skutki egzekucji.

Ponadto jestem jako osadnik wojskowy.

Z... Z...⁵

9 lipca 1960 roku Z. Z. otrzymuje pismo z Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej informujące, że nie uznaje uzasadnienia dla uznania go osadnikiem wojskowym i tym samym wstrzymania spłat, ponieważ osiedlił się na Ziemiach Zachodnich w 1951 roku, a powinien do dnia 14 stycznia 1948 roku, a poza tym gospodarstwa nie prowadzi osobiście, lecz je wydzierżawia.

Zapomniano tylko o jednym. Z. Z. nie mógł przeprowadzić się do Łebuni do 1948 roku, bo został zmuszony do opuszczenia swojego gospodarstwa na skutek wymiany terytoriów na mocy umowy między państwowej z 1951 roku.

W 1958 roku umarła mu młoda żona, zostaje z trójką dzieci i bez środków do życia. A zadłużenia rosną.

Kiedy po długiej walce, 30 marca 1965 roku Z. Z. otrzymuje nareszcie zaświadczenie z Zarządu Okręgu Gdańsk ZBOWID, że jest członkiem tej organizacji za udział w walkach z Niemcami w oddziałach Armii

5 Pisownia oryginalna.

Ludowej, zostaje to uznane przez miejscowe władze, które umarzają jego zadłużenia wobec państwa.

Zadłużenia wobec Państwa zostały anulowane, ale te wobec sąsiadów, a zwłaszcza dzierżawców jego gospodarstwa, nie podlegają umorzeniu. Przebrane procesy doprowadziły do zlicytowania gospodarstwa za śmieszłą cenę, odebrania budynków i tułaczki po wynajętych kwaterach. Na nic zdały się próśby o interwencję, skierowane do „Prezesa Rady Ministrów Ob. Józefa Cyrankiewicza” i do Ministra Obrony Narodowej. Odpowiedzi nie było.

Wincenty i Renata Borurowie pobrali się w 1886 roku w kościele parafialnym w Wiązownicy koło Jarosławia na Galicji, w tym samym, w którym wcześniej oboje byli ochrzczeni i w którym później miejscowy proboszcz chrzczył ich dzieci. Najpierw Janka, potem Jadwigę, Mateusza i Hannę. Borurowie mieli porządny kawał niezłej ziemi, rozciągnięty między wsią a zakolem rzeki San. Uchodzili wśród miejscowych za ludzi statecznych, dość majątnych, bardzo religijnych, wychowujących swoje dzieci w pobożności i w szacunku dla miłościwie panującego Najjaśniejszego Pana, Cesarza Austrii i Króla Węgier Franciszka Józefa I Habsburga. Czasy były politycznie niespokojne, ale te niepokoje dotyczyły raczej rządzących i spędzały sen z oczu najjaśniejszemu Panu w Wiedniu. W Wiązownicy ważniejsze były siewy, zbiory, kolejne przybory wody w Sanie, użeranie się z leniwymi Rusinami zatrudnionymi przy zbiorze kukurydzy i by nie dać się oszukać Żydom handlującym na placu. Nie martwili się też Wincenty i Renata o to, kto po nich obejmie ładnie utrzymane gospodarstwo. Mieli dwóch pracowitych synów i oczywiście było, że zgodnie z tradycją, najstarszy Janek obejmie gospodarstwo.

Nawet gdyby jeden z chłopców został powołany do służby wojskowej, gdyby wystąpiła groźba wojny, to na pewno nie byłby to Janek. Los płała jednak figle. Niespodziewanie zdarzają się rzeczy, których wcześniej nikt by nie przewidział. Gdy młodzież wyrosła, Janek postanowił wstąpić do zakonu i zanim skończył 18 lat, przywdział strój zakonny. Nie było tragedii. Perspektywa, że syn Boruców zostanie księdzem była dla rodziny powodem do dumy, dawała prawo do zasiadania w pierwszej ławie w kościele, a dla sąsiadów była powodem do zazdrości. Do prowadzenia gospodarstwa był jeszcze drugi z synów. Tymczasem sytuacja polityczna w Europie zaczęła się komplikować. Cesarz zarządził mobilizację i młodszy z synów, dwudziestoletni Mateusz, poszedł w kamasze. Powołanie przyszło nagle i za tydzień chłopak uczył się maszerować w austriackich koszarach. W wojsku austriackim Polakami, Czechami i Żydami pogardzano. Oficerowie i podoficerowie, Austriacy i Węgrzy, z zamiłowaniem okazywali innym swoją wyższość na każdym kroku, ale Mateusz miał z tym mniejsze problemy niż inni. Wysoki, przystojny, wygadany chłopak, dobrze mówiący w swoim języku, ale także swobodnie po czesku, rosyjsku, niemiecku i po węgiersku, był powszechnie lubiany i dobrze czuł się w armii. Planował nawet w armii pozostać i pójść do szkoły podoficerskiej. Zamach w Sarajewie i wybuch wielkiej wojny zniweczył wszystkie plany, a na zawsze pogrzebał je frontowy wypadek. W pobliżu Mateusza wybuchła bomba. On sam, ukryty w okopie, został lekko ranny, ale potężny wybuch spowodował, że chłopak ogłuchł. Po pobycie w szpitalu został odesłany do domu, bo okazało się, że słuch stracił bezpowrotnie.

W domu zastał zmiany. Najmłodsza Hania poszła do klasztoru, co nie było dla nikogo specjalną niespodzianką. Janek pozostał w klasztorze, a gospodarstwem zajmowała się starsza z sióstr, Jadwiga.

Jadzia była osobą niezwykle dobrą. Opiekuńcza, pracowita zajęła się bratem. Pod jej opieką Mateusz szybko wydobrzył po frontowych przejściach, oswoił się nieco ze swoim kalectwem, a nawet trochę nauczył się czytać z warg mówiącego, co dawało mu dużo samodzielności. Siedzenie w domu zaczęło mu doskwierać. Mimo, że nie był nikomu ciężarem, postanowił wyjechać i spróbować się usamodzielnąć. Pojechał na północ. Nowe porządki w powojennej Europie, powstanie państwa polskiego, powojenna odbudowa spowodowały, że łatwiej było o pracę. W swojej podróży na północ dotarł do Chełmna. Piękne stare miasto nad Wisłą było idealnym miejscem do zaczepienia się na jakiś czas, ale Mateusz wsiąkł tu na dobre. Którejś niedzieli poznał wychodzącą z kościoła Marysię Majewską. Marysia mieszkała w sąsiedniej wsi, rodzice mieli gospodarstwo sąsiadujące z wałem wiślanym. Po około pół roku młodzi pobrali się. Mateusz pracował na budowach i pomagał teściom w gospodarstwie. Na świat przychodziły dzieci. Najpierw Władzio, potem Staszek i jeszcze Wojciech. W starym domu teściów zrobiło się ciasno, a kiedy okazało się, że Maria spodziewa się kolejnego dziecka, trzeba było szukać większego lokum. I stał się cud. Nikt się nie spodziewał, że na napisane kilka lat wcześniej podanie o wypłatę odszkodowania wojennego za utratę słuchu będzie jakaś reakcja. Rząd austriacki wypłacił swojemu żołnierzowi niemałe pieniądze. Dość powiedzieć, że Mateusz i Maria Borurowie kupili spory kawałek ziemi z zabudowaniami w Starogrodzie

koło Chełmna (dzisiaj dzielnica miasta Chełmna) i wkrótce po urodzeniu czwartego syna, Tomasza, przeprowadzili się na swoje gospodarstwo. Szczęście młodej rodziny nie trwało długo. Zaledwie po czterech latach na własnym gospodarstwie Maria zapadła na suchoty. Ta straszna choroba była praktycznie nieuleczalna, a do tego Maria nosiła pod sercem piąte dziecko. Po dziesięciu miesiącach od urodzenia córeczki Bogusławy Maria zmarła. I została piątka dzieci. Najstarszy syn, zaledwie siedmioletni, a najmłodsza dziesięciomiesięczna Bogusia i z nimi on, ojciec, Mateusz, bezradny, a do tego głuchy. Mateusz nie mógł sobie pozwolić na rozpacz. Opadnięte ręce nie leżały w jego naturze. Słyszał wcześniej, że koło Gdańska buduje się nowe, polskie miasto Gdynia i port. Słyszał też, że można tam dobrze zarobić. Wiadomo było powszechnie, że inwestycje rządowe po wielkiej wojnie realizowane były szybko i nie żałowano na nie pieniędzy. Można tam było dobrze zarobić, zwłaszcza przy pracach transportowych, jeśli dysponowało się własnym pojazdem.

Mateusz szybko dogadał się z rodziną. Najstarszego Władka i łobuziaka Wojciecha zostawił w Wiązownicy pod opieką siostry Jadwigi, a właściwie jej syna i synowej Anieli, którzy objęli rodzinne gospodarstwo. Nie było im tam źle. Stateczny Władek chodził do szkoły, pomagał w gospodarstwie, natomiast wszędobylski Wojtek miał głowę nabitą tysiącami pomysłów, zajęć bynajmniej niezwiązanych z pasieniem krów, co w gospodarstwie było jego obowiązkiem, a do czego wykazywał mało cierpliwości i jeszcze mniej uwagi. Pilnowanie krów na pastwisku nie było zajęciem prostym. Działki po wielu podziałach były wąskie, zaledwie kilkumetrowe, a obok było pole sąsiada, bywało, że z koniczyną

i jak miał siedmiolatek upilnować bydła, zwłaszcza, że akurat skoczył do Sanu trochę popływać z chłopakami. Dzień przeważnie kończył się laniem i ulubioną karą Anieli, czyli głodówką i brakiem kolacji. Całe szczęście, że anioł – siostra taty, Jadwiga, czuwała i dzięki niej chłopiec rzadko chodził spać głodny.

Staszek i najmłodszy z synów, zawsze rozsądny i ułożony Tomasz, trafili do brata Janka do Chojnic.

Janek, który za młodu poszedł do zakonu, porzucił po latach habit dla kobiety. Ożenił się i z żoną Janiną założyli w Chojnicach restaurację. Interes kręcił się dobrze, oboje ciężko pracowali, czekali na potomstwo, które pomoże im w pracy. Dzieci owszem, przychodziły na świat, ale wkrótce umierały. Tak ośmioro jedno po drugim. Dziś wiadomo, że był to efekt konfliktu serologicznego, albo jak mówią inaczej, konflikt krwi. Wtedy wtajemniczeni szeptali, że dotknęła ich klątwa za „zrzucenie sutanny”, że to kara boska.

Janek i Janina chętnie przyjęli pod swój dach dzieci brata wdowca. Janek, dobry człowiek, widział w tych chłopcach osieroconych członków jego rodziny, Janina postrzegала ich jako siłę roboczą. Tomaszek bardzo wczesnie nauczył się świetnie zmywać gary, patelnie i naczynia, gdy do zmywaka sięgał, stojąc na taborecie.

Córeczką Mateusza zaopiekowała się jego najmłodsza siostra. Hania była zakonnicą w Zakonie Sióstr Miłosierdzia Bożego w Warszawie. Zakon prowadził przyklasztorną ochronkę ze szkołą dla sierot i tam trafiła maleńka Bogusia. Wspaniałej cioci Hani Bogusia zawdzięcza dość surowe, ale spokojne dzieciństwo i wczesne kształcenie.

Mateusz solidnie naprawił wóz, kupił dwa silne konie, sprzedał gospodarstwo w Starogrodzie, pomodlił się przy grobie Marii i z obolałym sercem udał się do Gdyni.

Tu pracy było mnóstwo. Płacili dobrze, szczególnie dobrze wynagradzani byli posiadający własny transport, toteż wozaków było tu dużo. Większość stanowili Kaszubi, którzy z sąsiednich wsi przyjeżdżali codziennie zaprzęgami do pracy. Ale wielu było też takich jak Mateusz, przyjezdnych i tutaj tylko zakwaterowanych. Można było sporo zarobionych pieniędzy odłożyć, ale kosztowne były kwatery i opłaty za stajnię i paszę dla koni. Praca była dobrze zorganizowana. Szerokie drogi, chociaż gruntowe, powodowały, że wozacy wzajemnie sobie nie przeszkadzali. Dla Mateusza było to szczególnie ważne. Nie słyszał nadjeżdżających z boku, trzeszczących pod ciężarem wozów, pokrzykujących woźniców. Przez cały dzień pracy musiał być szczególnie skoncentrowany, żeby w tym tłumie nie spowodować wypadku albo nie doznać jakiegoś nieszczęścia.

Od pierwszego dnia założył sobie cel, że w ciągu dwóch lat zarobi jak najwięcej pieniędzy i znów kupi jakieś gospodarstwo, może w Wiązownicy, a przede wszystkim pozbiera dzieciaki do kupy. Myśli o dzieciach towarzyszyły mu ciągle, a jedynym pocieszeniem było to, że chociaż podzieleni, są u rodziny, a nie jak wiele innych, w sierocińcach lub ochronkach.

Mateusz wynajmował na mieszkanie niewielką komórkę w Obłuzu. Mieszkanie było podłe, ale tanie i miał niedaleko do pracy. Konie miały stajnię niedaleko, więc często w nocy do nich zaglądał, czy czego im nie

brakuje po całodzienniej pracy. A pracowały te koniska więcej niż inne. Zawsze od świtu do nocy, gdy zdarzała się jakaś dodatkowa robota, dla przykładu przeprowadzka, to Mateusz dla dodatkowego grosza brał tę robotę. Rozrzutny nigdy nie był i odłożonych pieniędzy przybywało z każdym miesiącem. Mateusz już oczami wyobraźni widział, gdzie w Więzownicy stanie jego gospodarstwo. Nie bardzo myślał, co tam będzie robił, bo najważniejsze było, żeby zebrać dzieciaki i żeby miały dom.

Pewnego dnia wyczytał w miejscowej gazecie, że sołectwo Gdynia wykupiło kawał ziemi od Tilmanów na Dolnym Obłuzu, między Starym Obłuzem a Oksywiem. Grunt dzielony jest na działki, które mogą kupować na raty pracujący przy budowie miasta i portu. Zaraz też zaczęto sprzedaż. Mateusz nie zastanawiał się ani chwili. Upatrzył w tym wielką szansę dla siebie i swoich dzieci. Tutaj mieć dom, tutaj pracować i tutaj posłać do szkół dzieciaki. Drugiego dnia, z samego rana, Mateusz był szczęśliwym właścicielem dwunastej sprzedanej działki na osiedlu, które nazwano Obłuże Kolonia. Zaraz też zaczęły się prace. Codziennie po trochu, po pracy „za kanałem”, na obłuskim stoku, rosły ściany Mateuszo-
wych marzeń. Obok niego budowali też inni, uparci, którzy tu nareszcie znaleźli swoje miejsce. Czasami po robocie schodzili się do Mateusza, by posłuchać co on, choć głuchy, sądzi o tym, co się dzieje w polityce. Mateusz czytał gazety i nie był to tylko „Dziennik Bałtycki”, ale i „Danziger Zeitung”, w których dziennikarze wypisywali całkiem niepokojące rzeczy. Nazywano to przepychankami, prężeniem mięśni, ale w zapowiadanej przez pesymistów wojnę mało kto wierzył. Zachód gwarantował bezpieczeństwo Polski. Kiedy jednak przy wejściu do gdyńskiego portu,

tuż przy nowiutkim falochronie, zaczęto gromadzić kutry wojenne, narastał niepokój. Dom Mateusza miał już dach i gotową jedną izbę, gdzie zamieszkał i nie musiał już niczego wynajmować. Jeszcze kilka miesięcy i wszystko będzie gotowe. Miał też nawet dwa stoły, kilka krzeseł, dwa łóżka z siennikami, skrzynię na ubrania i kosz do przechowywania żywności. Marzyło mu się, że we wrześniu 1939 roku cała piątka pójdzie już tutaj do szkoły. Bogusia też już powinna iść do pierwszej klasy. Ciężko będzie na początku dać sobie radę z całą piątką, ale Mateusz liczył, że jego siostra, ten dobry duch, Jadwiga, też tu przyjedzie i pomoże mu w ogarnięciu całości. Jadwiga nigdy tego nie obiecywała, ale jej listy świadczyły, że los rodziny Mateusza nie jest jej obojętny i do jego chłopców była bardzo przywiązana. Szczególnie kochała Wojtka. Ten łobuz i szelma tak jej zapadł w serce, że nie wyobrażała sobie, że kiedyś od nich odjedzie. Mateusz martwił się szczególnie tym, że kontakt z dziećmi, tak rzadko widzianymi, może być bardzo trudny. Czy będą chcieli z nim, głuchym, rozmawiać? Czy się nauczą z nim rozmawiać? Czy zrozumieją, co się wydarzyło i dlaczego tak się wszystko potoczyło?

Pewnego dnia pod koniec sierpnia, gdy Mateusz wrócił z pracy, zauważył kilku żołnierzy krzątających się na placu powyżej osiedla. Podeszedł bliżej i dopiero teraz, z bliska, zobaczył, że pracowali przy maskowaniu baterii działek przeciwlotniczych. Oby nie musiały być potrzebne – pomyślał Mateusz. Nie wiedział jeszcze, że te działka wnet staną się jego i innych przekleństwem.

Jadwiga odradziła przywiezienie dzieci do Gdyni. Wszędzie mówiło się tylko o nadciągającej wojnie o Gdańsk i jakże w tych okolicznościach

pchać się w paszczę lwa i do tego jeszcze z dziećmi. Ostatecznie postanowili, że odczekają jeszcze kilka miesięcy, aż minie zagrożenie konfliktem i dzieci pozostały tam, gdzie były.

1 września Mateusza obudziły znane sprzed dwudziestu lat wstrząsy i dudnienie ziemi. Wstał i wyjrzał przez okno. Nad Westerplatte unosiły się czarne dymy i widać było błyski armatnie. Zaprzągnął konie i pojechał do pracy. Ostatnio całymi dniami wywożono piasek wygarnięty z dna Bałtyku podczas pogłębiania wejścia do portu. Dzisiaj pracy nie było. Wojskowi zatopili kilka okrętów w wejściu do portu i pogłębianie wstrzymano. Mateusz codziennie wczesnym rankiem chodził do zarządu portu spytać, czy nie ruszają jakieś roboty. Ciągle nic nie było. Trwało to tydzień. 8 września nadleciało kilka niemieckich samolotów i wtedy pierwszy raz przemówiły działka przeciwlotnicze zamaskowane za kolonią na Obłuzu. Kilka krótkich serii przegnało napastników. Cała Gdynia podziwiała skuteczność przeciwlotników. Podziwianie trwało tylko do następnego dnia.

Nazajutrz, jak zwykle, Mateusz szedł w kierunku portu, gdy od strony Chyloni nadleciało kilka ciężkich samolotów. To były bombowce. Jak się później dowiedział – junkersy z bazy w Dziwnowie. Leciały prosto na port marynarki wojennej na Oksywiu, ale ich pierwszym celem była bateria działek przeciwlotniczych na Obłuzu. Poleciały bomby. Seria wybuchów zasnuła wszystko czarnym dymem.

Mateusz ruszył biegiem w kierunku domu. Gdy dobiegł bliżej, mimo gęstego dymu i opadającego kurzu, zobaczył zburzone, płonące domy na kolonii. Biegł do góry, bo jego dom stał wyżej. Tam zniszczenia były jeszcze większe, ale go wtedy interesował tylko jego dom. I zobaczył. Z jego

domu została tylko jedna, szczytowa ściana, na której jeszcze opierał się zwalony, płonący dach. Boczna ściana budynku przewróciła się na zewnątrz i zmiażdżyła stojący obok niej drewniany wóz. Nieopodal leżały oba konie, jeden nie żył, drugi jeszcze chwilę grzebał kopytem rozrytą obok ziemię i po chwili znieruchomiał.

W ciągu kilku chwil Mateusz stracił wszystko: dom, wóz, konie, cały dobytek. Najgorsze było to, że skończył się jego sen, że ściągnie dzieci i da im wspólny rodzinny dom, który wymarzył i zbudował. Dopiero następnego dnia Mateusz uświadomił sobie, że być może to Opatrzność nad nimi czuwała. Przecież tylko za sprawą Jadwigi dzieci nie było w zbombardowanym domu, a on sam przecież zaledwie pół godziny przed nalotem z niego wyszedł.

W Gdyni zaczęła się pacyfikacja. Niemieckie władze organizowały zbiórki mieszkańców na placu przed dworcem, po czym następowała segregacja. W mieście pozostawiano mówiących po niemiecku. Większość musiała opuścić miasto. Mateusz nie przyznał się do znajomości niemieckiego, zresztą z jego głuchotą dla Niemców był raczej nieprzydatny, a osoby nie w pełni sprawne wysyłano od razu do Stutthofu. Z bombardowania domu ocalała skrzynia z ubraniami i dokumentami w środku i kosz wiklinowy, którego mężczyzna używał do przechowania żywności. Ze skrzynią i koszem wsiadł do pociągu i pojechał na południe, na Galicję, do Wiązownicy. Po napadzie Niemiec na Związek Radziecki zrobiło się niebezpiecznie. Niemiecka żandarmeria zaczęła interesować się przyjezdnymi i Mateusz postanowił wyjechać dla bezpieczeństwa swojego i rodziny. Pojechał do Lublina i zatrudnił się w klasztorze obok

lubelskiego zamku. Na terenie klasztoru otrzymał niewielki pokoik i pracę ogrodnika. Jako ogrodnik i lokator mógł korzystać w klasztorze z dość dużej swobody. Nie przesadzał. Jeździł jedynie klasztornym wozem na targ sprzedawać nadwyżki wyhodowanych warzyw. Po zakończeniu wojny Mateusz musiał jeszcze pozostać w klasztorze. Jego najstarszy syn, członek AK, nie złożył broni i wraz z innymi pozostał w lesie, tocząc walki z władzą ludową. Był poszukiwany, podobnie jak jego ojciec. Prawdopodobnie po to, aby zdobyć od Mateusza informacje, gdzie przebywa syn. Nic chyba jednak nie dzieje się przypadkiem. Przyziemia lubelskiego zamku zapełniły się więźniami politycznymi. Aresztowani miesiącami siedzieli stłoczeni w ciasnych, ciemnych celach. Władza ludowa żywiła wrogów ludu byle jak, więc choroby, zwłaszcza szkorbut, dziesiątkowały więźniów. Więcej szczęścia mieli ci, którzy zajmowali cele, których zakratowane, małe okna wychodziły na klasztorny ogród. Człowiek o jasnych wręcz białych oczach, prawie każdego dnia wrzucał im świeżą sałatę, cebulę, czosnek i małe główki kapusty. Po słowach „jedzcie na zdrowie”, nie odpowiadał na żadne pytania, wrzucał warzywa i znikał. Aresztanci wiedzieli, że ów człowiek nie może ich widzieć, bo w celach było ciemno, ale nie rozumieli dlaczego nigdy nie odpowiedział na żadne zadane pytanie. Nikt nie wpadł na to, że on ich po prostu nie słyszał.

Syn Mateusza, Wojciech, kilka lat po wojnie, gdy już mieszkał w gminie Cewice na Pomorzu wraz z żoną i dwoma synami, pojechał po ojca do Lublina. Mateusz odmówił wyjazdu na Pomorze. Nie chciał być synowi ciężarem, a nawet kłopotem, bo ciągle dochodziły informacje, że jacyś w kapeluszach i długich płaszczach pytali o niego i o jego syna Władka,

mimo, że dawno słuch o nim zaginął. Nie chciał zaszkodzić nikomu, a zwłaszcza studiującemu medycynę Tomaszowi, który w końcu dzięki pomocy rektora Akademii dostał się na studia. Wcześniej dwukrotnie odrzucano jego podania o przyjęcie na uczelnię.

W końcu dwa lata po śmierci Stalina Mateusz dał się namówić synowi i z kilkoma meblami, tą samą skrzynią na ubrania i koszem wiklinowym przyjechał do niego i zamieszkał w pokoju na piętrze. Jego dzieci odwiedzały go od czasu do czasu. Relacje były trudne. Oni mieli pretensje o zmarnowane dzieciństwo, bez rodziców, bez domu, on się nie tłumaczył. Zawsze miał do siebie pretensje, że za mało robił, że mógł więcej. Nie opowiadał o swojej trudnej drodze, o staraniach. Po prostu nie tłumaczył się. Uważał swoje życie za zmarnowane i nieudane i nie widział w nim niczego pozytywnego, niczego z czego można być dumnym lub chociaż zadowolonym.

Był rok 1984. W domu syna Wojciecha odbywało się wesele jego najmłodszej córki. Wśród weselnych gości zasiadał za stołem starszy, elegancki pan, wujek pana młodego. Był emerytowanym nauczycielem, byłym dyrektorem liceum ogólnokształcącego w poznańskim. Nie tańczył. Wiele lat spędzonych w stalinowskich więzieniach mocno nadwątlily jego zdrowie, a wiek dokonał reszty. Rozmawiał, troszkę wypił i od dłuższego czasu dyskretnie przyglądał się staruszkowi, dziadkowi panny młodej. Wiedział już, że starszy pan nie słyszy, ale widział, jak sprawnie porozumiewa się z rodziną, czytając z ruchu warg. Poczuł potrzebę porozmawiania ze staruszką, więc poprosił brata panny młodej o pośrednictwo.

– Mam wrażenie, że pana skądś znam, że już się spotkaliśmy – przetłumaczono słowa gościa.

– Nie wydaje mi się, ja pana sobie nie przypominam – odpowiedział Mateusz, pilnie się gościowi przyglądając. Ich spojrzenia spotkały się na dłużej.

– Czy był pan zaraz po wojnie w Lublinie? – gość już wiedział. To były te same blade oczy, które widywał w małym więziennym oknie lubelskiego zamku.

– Nie, nigdy tam nie byłem! – Mateusz zaczął ręką szukać laski, żeby wstać.

– To pan wrzucał świeże warzywa do cel przez okienka. Tak, to pan. Te oczy poznałbym wszędzie. Czy pan wie, ilu ludziom Pan zdrowie a pewnie i życie uratował? Ja sam dzięki panu zachowałem zęby! A może nie tylko zęby!

– Niczego takiego nie pamiętam! Niczego nie wrzucałem! Idę odpocząć! Przepraszam, przepraszam, przepraszam... Mateusz przeciskał się między krzesłami do drzwi.

– Dopiero dzisiaj, po tylu latach zrozumiałem, dlaczego wtedy nie odpowiadał na nasze pytania. On nas przecież ani nie widział, ani nie słyszał. A my myśleliśmy, że on się boi – zwrócił się gość do brata młodej. Ten jednak nie rozumiał, o czym była cała sprawa, więc gość opowiedział mu całą tę lubelską historię.

Ilu ludzi, tyle człowieczych historii przybyło po wojnie do gminy Cewice. Wszyscy ci ludzie: zwyczajni, oszukani przez władze, ci, którym wojna lub władza ludowa zniszczyła życie, skromni bohaterowie, do których nie dotarło nigdy, że są bohaterami, żyją dzisiaj lub do niedawna żyli obok siebie. Obok innych żyją też tacy, którzy w trudnych powojennych latach nie byli ani bohaterami, ani oszukanymi przez władze, ani zwyczajnymi. Do jakiej kategorii zaliczyć kogoś, kto napisał takie podanie?

Siemirowice, dnia 26.02.1951 r.

T... P...
Siemirowice, gr. Cewice
pow. Łęborg

Do
Prezyd. Grom. Rady Narod.
w Cewicach

Wnoszę niniejszym podanie o przyznanie mi gospodarstwa rolnego położonego we wsi Siemirowice gromady Cewice po ob. T... W... o obszarze 13.12 ha w tym ziemi ornej 9,44 ha.

Prośbę moją motywuję następująco:

Posiadam liczną rodzinę a gospodarstwo posiadam małe w stosunku do ilości osób na utrzymaniu gdyż ornej ziemi posiadam tylko 8,51 ha i to klasy V i VI. Wobec czego jestem zmuszony co roku chleb kupować. Mógłbym objąć drugą część gospodarki, która do 1945 roku stanowiła jedną całość. Mieszka tam T... W..., który jest trupem gospodarczym. A w wypadku kiedy ja obejmę obie części gospodarki będę miał pod dostatkiem ziemi na utrzymanie rodziny a ziemia zostanie całkowicie uprawiona i co najważniejsze państwo nie będzie musiało udzielać kredytów inwestycyjnych.

W nadziei, że moja prośba zostanie przychylnie załatwiona, oczekuję rychłej odpowiedzi.

T... P...⁶

Wobec takich perspektyw rozwoju Polski Ludowej podanie rozpatrzone pozytywnie.

Witold Broda

6 Pisownia oryginalna.

Rozdział 3

Portrety naszych strachów

Pozostały jednak w naszej gminie jakieś stare sprawy niezafatwione, nierozstrzygnięte, o które nikt żyjący już się nie upomina. Ktoś, kiedyś skrzywdzony lub może ktoś, kto krzywdę uczynił, a nie może kary odpokutować, błąka się późnym wieczorem pełną drogą w Pieskach. Postać ta, a właściwie ciemny cień bez zarysowanej głowy ani kończyn, z czerwonym punkciem w środku tego cienia, który przypomina ogienek palonego papierosa, przesuwa się wzdłuż drogi polnej i asfaltowej od przystanku do znaku drogowego. Podobno trwa to już od wojny, choć zdarza się rzadko. Niektórzy kojarzą to zjawisko z zabitym przez Rosjan w 1945 roku żołnierzem niemieckim na polu przy drodze, który przez kilka dni leżał na polu nie doczekawszy się pochówku. Wokół niego leżały części munduru i pozostałej garderoby, a w palcach trzymał niedopalonego papierosa. Ci, którzy nocą go spotkali, unikają chodzenia tą samą drogą. Wtajemniczeni twierdzą, że spotkanie z tym duchem w niczym żywym nie zagraża. Nie wolno się tylko do niego odzywać.

Wiosną, w cichą noc na Krępkowickiej Strudze, niedaleko Świętopełka, w miejscu, gdzie znajdował się młyn, można usłyszeć głośny plusk wody spadającej z obracającego się skrzypiącego koła młyńskiego. A koła

już nie ma i młyna też nie ma. Może to pochowany obok swojego młyna, zamordowany przez radzieckich żołnierzy, młynarz Bogs usiłuje zmielić dostarczone ziarno?

Powiadają ludzie, że nocą przechodzący koło łebuńskiego cmentarza czują się obserwowani. Odruchowo każdy przyspiesza kroku, bo „obserwatora” nie widać, a czyjeś oczy wpijają się w plecy. Zjawisko trwa już co najmniej 50 lat, a opowiadają to najstarsi mieszkańcy Osowa, co jest zrozumiałe, bo przede wszystkim oni przechodzili koło cmentarza, wracając z Łebuni. Poza dziwnym odczuwaniem obserwowania nic się nigdy żadnemu pieszemu nie przydarzyło, poza nagłym uderzeniem gorąca... lub zimna. Zależy jak kto reaguje na strach. Pieszym nic się nie przydarzyło, ale coraz więcej teraz zmotoryzowanych.

Zdarzyło się to gdzieś w roku 1990. Pewien mieszkaniec Maszewa nocą odwoził do Łebuni znajomą, która pomagała jego żonie wypiekać ciasta na domową uroczystość. Zawiózł ją pod dom. Wsiadła. On zawrócił i ruszył do domu. Za łebuńskim kościołem minął rząd przydrożnych kasztanowców i przyspieszył, aby szybko minąć cmentarz. Znał opowieści o „obserwatorze” i wołał być tam jak najkrócej. Gdy mijał cmentarz, ktoś rzucił kamieniem w drzwi kierowcy. Uderzenie było takie głośne, jakby ktoś rzucił dwukilogramowym kamieniem polnym i takie mocne, że samochód zakołysał się jak od gwałtownego podmuchu wiatru. Odruchowo spojrzął na zegarek. Była północ, dokładnie północ. Nie zatrzymał się. Przeciwnie, dodał gazu. Przecież nie stanie nocą koło cmentarza. Dziękował Bogu, że uderzenie nie trafiło w szybę. Ale takie uderzenie w blachę drzwi musiało też narobić sporej szkody. Zatrzymał

się w Osowie, w miejscu nieco oświetlonym przez światła budynku przy drodze. Wsiadł. Na drzwiach samochodu nie było śladu uszkodzenia. Następnego dnia obejrzał cały samochód „na kanale”, żeby wykluczyć możliwość, że najechał na kamień, a ten walnął w podłogę i może coś uszkodził. Nigdzie nie było śladu uderzenia.

Gdy zdarzyło mu się, innym razem, nocą wracać z Kartuz przez Łebunię, skręcił w lewo przed parkiem i pojechał przez Cewice.

Historię tę opowiedział kilku osobom i okazało się, że nie był pierwszy. Takie zdarzenie już miało miejsce wcześniej. I też o północy.

Jak to wytłumaczyć? Tego racjonalnie wytłumaczyć się nie da. Może jakiś duch spoczywającego na tym cmentarzu żywi uraz do szybko jeżdżących autem? Ciekawe dlaczego?

W Pieskach, przy wspinającej się w górę brukowanej drodze, z której zawsze zobaczyć można w oddali domy sąsiednich wsi, a na dole nieduże, urocze jezioro, jest miejsce, które przykuwa uwagę idących. Porośnięte krzakami ruiny po budynkach, otwory po piwnicznych oknach, które jak czarne oczodoły pozbawione źrenic patrzą na drogę i na niegdys gwarny i ruchliwy parking dla gospodarskich wozów. Obie strony nieistniejących zabudowań okalają dwa stawy, pewnie dość głębokie, bo dziś jeszcze mają spore lustra wody niezarośnięte wodorostami. Ruiny w tym pięknym miejscu to niegdysiejsza gospoda Bertholda Mushiela. Miejsce było bardzo znane i popularne, bo chociaż w okolicy nie brakowało miejsc, gdzie można było napić się piwa czy wódki, u Mushiela był także sklep, gdzie robiono zakupy. Na dużym podwórzu w cieniu wysokich drzew zadbano o ustawienie betonowych żłobów z wodą, przy których

można było przywiązać konia, a ten mógł tam stać tak długo przy pełnym korycie na zewnątrz, jak jego gospodarz mógł długo siedzieć przy napełnianej szklanicy w gospodzie. Gospoda znajdowała się niedaleko polskiej granicy, stąd też ruch był tu większy jak w innych szynkach.



Wieś Pieski na starej widokówce (od góry: gospoda Muttschalla, szkoła, wiejski staw)

Gospoda Bertholda Mushiela miała jeszcze jeden atut. Urodziwą córkę właściciela, ukochaną córkę i dumę ojca, dwudziestoletnią Lili. Wesoła, ruchliwa i pracowita dziewczyna pomagała czasem obsługiwać gości, a wielu sąsiadów tu właśnie przyjeżdżało napić się piwa, by być przez Lili obsłużonym. Miała Lili wielu adoratorów, którzy tęsknym wzrokiem wodzili za nią po gospodzie, a nawet miejscowy grajek na akordeonie cicho grał dla niej tęskną „Lilimarlen”. Adorowali Lili chłopcy niemieccy i polscy z Schimmerwitz Wald, ale także z sąsiedniego Skrzeszewa, Pałubic. W 1945 roku skończyła się wojna. Owi chłopcy byli zbyt młodzi, aby w niej uczestniczyć, dlatego teraz chętnie popisywali się strzelaniem do celu z każdej znalezionej gdzieś broni.

W takiej zabawie najbardziej pożądanym kibicem jest dziewczyna, na której strzelcowi zależy. Tak też zdarzyło się latem 1945 roku przed gospodą. Brat Lili i polski chłopak, zakochany w Lili, któremu ona dawała pewne nadzieje, zorganizowali strzelanie do celu, a dokładnie do drzewa na podjeździe przed gospodą. Byli przy tym brat i znajomi chłopaka. Ze znalezionego pistoletu strzelali na zmianę, ale żaden nie trafił do celu. Lili bawiła się, obserwując ten turniej, a szczególnie dokuczała chłopakowi, który wcześniej opowiadał jej i bratu, że niejedną raz posługiwał się tą bronią.

– Taki strzelec z ciebie, że nie bałabym się twojego strzelania, gdybym stanęła przed tym drzewem.

– Szkoda by było takiej panny, gdybym trafił.

– Tylko, że nie trafisz. No stoję, strzelaj. Wcale się nie boję. Strzelaj.

Głupiec nie celował, strzelił. Kula trafiła w pierś. Dziewczyna żyła jednak, przewieziono ją do szpitala w Lęborku, ale życia nie udało się uratować.

Dzień pogrzebu. Lili leżała w otwartej trumnie. W izbie pełno było ludzi. Rodzina, sąsiedzi, koledzy. Paliły się świece. Nie było w izbie owego głupca – nieszczęśnika, który nieprzemyślanym czynem zniweczył swoje i jej szczęście. Nie było też ojca Lili. Brak ojca dziwił wszystkich, już nawet po kątach szemrano o tym, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Mushiel. Bez jednego słowa ani łzy wpatrywał się w twarz córki, po czym odwrócił się i wyszedł. I nikt go już więcej nigdy nie widział. Lili pochowano w Siemirowicach. Ojca na cmentarzu nie było. Dokąd poszedł? Umrzeć, żeby być z córką? Być może. Zemścić się? Możliwe. Ale to Mushiel jest pochowany gdzieś w Dużym Lesie. Nikt nie wie, w którym miejscu. Nikt? Podobno ktoś wie, ale nie mówi.

Kilka lat po wojnie rodzina Lili wyjechała do Niemiec. Opuszczony dom z gospodą nie znalazł z „jakiegoś” powodu lokatorów. Opuszczony, nieremontowany budynek rozleciał się i pozostało tylko miejsce po gospodzie Mushela.

Wygląda na to, że jednak nie wszyscy się wyprowadzili. Mówi się, że o zmierzchu lub nocą spóźnieni przechodnie mogą spotkać na brukowanej drodze idących z przeciwka mężczyznę i młodą kobietę. Oboje przyglądają się nadchodzącemu, po czym ich sylwetki znikają, jak rozplywa się mgła. Chyba nie należy się ich bać. Ten, który strzelił do Lili, dawno już nie żyje. Wraciał z wesela. Przewrócił się i nie żył. Wkrótce po tym zdarzeniu jego brat jechał wozem konnym. Wóz przewrócił się nagle i przysgniół woźnicę. Zginął na miejscu.

Zdarzały się inne przypadki. Komuś przejeżdżającemu traktorem nagle na bruku zeszło z koła powietrze. Innym razem ktoś jechał wcześniej

rano, bo spieszył się ze świnią na spęd do Sierakowic. Koło byłej gospody odpięła się burta przyczepy i trzeba było świnie łapać na polu. Ale to mógł być tylko przypadek.

W Maszewie „straszy koło lasku”. Lasek to kępa buczków w okolicach krzyża, gdzie zaczyna się ulica Ogrodowa. Dawniej był to przydrożny żywopłot. Systematycznie przycinany chronił drogę przed nawiewaniem śniegu. Po II wojnie światowej nie był chyba nigdy podcięty i z czasem rosnące buki przyjęły fantastyczne, wymyślne kształty. „Lasek” przzerzedził się i dzisiaj służy przede wszystkim młodocianym randkowiczom szukającym odosobnienia lub gimnazjalistom, którzy potrzebują spokojnego miejsca, żeby zapalić lub cośkolwiek wypić, a przynajmniej pokłóć sobie bez świadków. Chyba ta nowa funkcja tego miejsca i sterty porzuconych butelek spowodowały, że duchy wyniosły się stamtąd. A może są, tylko siedzą w ukryciu, bo jaki duch odważy się zaczepić podpitego gimnazjalistę...?!

Kiedyś jednak szkoły były siedmioklasowe i koło lasku straszyciło. A to widziano nocą białe, blade światełko, a to znów jasny cień. Zawsze jednak była to poruszająca się biała postać. Chociaż sporo osób ducha widziało, nikt nie został zaczepiony. Wygląda na to, że była to zagubiona dusza, która szukała swojego miejsca. Mimo zdecydowanego braku agresji ze strony ducha unikano chodzenia „koło lasku” w ciemności. Normalne było, że po osobę, która z różnych przyczyn wracała nocą do domu należało wyjść naprzeciw, a najlepiej do samego Maszewa. Oczywiście wychodziły naprzeciw dwie osoby z latarką.

Na początku lat sześćdziesiątych polska telewizja nadawała tylko w jednym programie. Program zaczynał się około godziny dziewiętnastej,

potem „Jacek i Agatka” albo „Gąska Balbinka”, czyli Dobranocka, dziennik telewizyjny, jakiś wybitny film produkcji radzieckiej i około dwudziestej drugiej Polska szła spać. W przypadku transmisji festiwalu piosenki radzieckiej w Zielonej Górze Polska szła spać około dwudziestej trzeciej. O tej godzinie nawet latem jest ciemno. W Maszewie były trzy telewizory. Jeden w świetlicy drożdżowni przy bibliotece, a dwa u osób w mieszkaniach prywatnych, w tym jeden na Ogrodowej. Wszystkie trzy telewizory były oblegane. Na świetlicy wszystkie miejsca siedzące były dużo wcześniej zajęte przez zapobiegliwych, trudno było nawet o miejsca stojące, bo co bardziej wygodni przychodzili do świetlicy ze swoim krzesłem. Podobnie było przed dwoma prywatnymi telewizorami we wsi, chociaż tam raczej przychodziły na ogół te same osoby zaprzyjaźnione z gospodarzami. Sympatyczny naczelnik miejscowej poczty oglądał co dnia program telewizyjny u znajomych przy ulicy Ogrodowej. Starał się wychodzić do domu po dzienniku albo w połowie filmu, aby za długo nie przeszkadzać gospodarzom, ale również dlatego, aby możliwie wcześnie przemknąć koło „lasku”, bo choć w duchy nie wierzył, to jednak osobiście sprawdzać tematu nie zamierzał. Pewnego wieczora zdrzemnął się na krześle i gdy przyszło do domu wracać, panowały już egipskie ciemności. Rad nierad musiał wracać do domu. Zbliżając się do lasku, przyspieszył kroku i nawet zaczął nucić coś pod nosem, aby odgonić wiadome myśli, gdy z krzaków wysunęła się biała postać. Ciemno było bardzo, ale z odległości około pięciu metrów wyraźnie odróżnić można było wielkie czarne oczodoły na białej postaci, która w swojej środkowej części poszerzała się i zwężała rytmicznymi ruchami. Niewidoczne

w czeluściach oczy przyglądały się panu naczelnikowi poczty. Duch niczego nie uczynił, ale pan naczelnik czuł, że życzy sobie wyraźnie, żeby intruz opuścił jego teren. Prawdopodobnie wystąpiło zjawisko pełnej zgodności zamiarów. Pan naczelnik wystartował tak ostro, że jak później opowiadał, mimo że biegł w trzewikach i po „kocich łbach”, prawdopodobnie co najmniej wyrównał rekord świata w biegu na 400 metrów na otwartym stadionie.

Prawdopodobnie było to ostatnie znane spotkanie z duchem „koło lasku”. Miało jednak znaczący wpływ na wzrost posiadania telewizorów w Maszewie. Pan Naczelnik, mimo że nie był rozrzutny, kupił telewizor i w ten sposób stan posiadania odbiorników w Maszewie wzrósł o 25 procent.

Witold Broda

Rozdział 4

Portrety naszej przyrody

Przyroda to jeden z największych atutów gminy Cewice. Piękne krajobrazy, które tworzą lasy, jeziora, rzeki oraz urozmaicona rzeźba terenu, tylko proszą, by uwiecznić je na obrazach.

Walory przyrodniczo-krajobrazowe, pomniki przyrody, bogate w ryby akweny wodne i pełne runa leśnego lasy tworzą prawdziwy raj na ziemi.

Amatorów kąpiele wodnych zainteresuje kilkanaście naszych jezior. Do największych zaliczają się: jezioro Brody w Krępkowicach oraz jeziora w Siemirowicach, Osowie Lęborskim, Oskowie i Bukowinie. W większości są położone z dala od dróg, wśród lasów, co gwarantuje odpoczynek na łonie przyrody z dala od cywilizacji. Najcenniejszym przyrodniczo jest jezioro Święte – jedno ze stu sześćdziesięciu istniejących w Polsce jezior lobeliowych. Jest ono częściowo położone na terenie gminy Cewice, na południe od wsi Bukowina. Jego powierzchnia wynosi ponad dwadzieścia trzy hektary, a maksymalna głębokość pięć metrów. Otoczone jest niemal z każdej strony lasami. Do 1 września 1939 roku przez jezioro przebiegała granica polsko-niemiecka, która dalej wiodła na wschód wzdłuż jeziora Kamienieckiego.

Przez teren gminy przepływają cztery rzeki: Bukowina, Okalica, Sitnica i Unieszynka. Największe znaczenie, również pod kątem turystyki,

ma pierwsza z nich. Z uwagi na szybki nurt, liczne bystrza oraz kamienne dno zalicza się ją do rzek o charakterze górskim. Z tego względu stanowi ona wyzwanie dla amatorów kajakarstwa. Mimo, iż jest zaliczana do tras trudnych, w okresie od wiosny do jesieni wielu kajakarzy próbuje zmierzyć się z jej nurtem.



Rzeka Bukowina

Jesienią w lasach, które zajmują około sześćdziesięciu procent powierzchni naszej gminy, spotkać można grzybiarzy. W części północnej gminy przeważają stare drzewostany z przewagą dębu i buka, a w południowej dominują lasy iglaste. Występują tu liczne gatunki zwierzyny leśnej, m.in. dziki, sarny, lisy, jenoty, perkozy dwuczube, czajki, bekasy.

Na terenie gminy Cewice ustanowiono wiele pomników przyrody. Najbardziej znanym jest dąb szypułkowy „Świętopełk”, rosnący w okolicach wsi Krępkowice. Jego wiek oceniany jest na około 700 lat. Jest to najstarszy starodrzew na Pomorzu, a szósty pod względem wieku dąb w Polsce. Jego obwód wynosi około ośmiu metrów, a wysokość około dwudziestu metrów. „Świętopełk” najokazalej prezentuje się późną wiosną i latem, gdy jego korona w całości pokryta jest intensywnym i gęstym okryciem liści.

Jego piękno można podziwiać wędrując ścieżką edukacyjno-przyrodniczą „Dąb Świętopełk”. Ścieżka liczy około dziewięciuset metrów długości. Na jej trasie ustawiono tablice informacyjne, opisujące walory przyrodnicze miejsc, w których odwiedzający właśnie się znajdują. Dla osób, które chciałyby odpocząć i podziwiać piękno otaczającej przyrody, ustawiono ławki. Ścieżka, oprócz walorów turystycznych, pełni również funkcję dydaktyczną. Służy edukacji ekologicznej społeczeństwa, w szczególności dzieci i młodzieży. To doskonałe miejsce do organizowania lekcji przyrody w terenie. W pobliżu Krępkowic, w odległości około czterystu metrów od „Świętopełka”, rośnie kolejny wiekowy dąb, liczący około pięciuset lat. Znanym pomnikiem przyrody jest też aleja bukowa w parku przydworskim w Cewicach. Aleję tworzy dwadzieścia



Dąb „Świętopęk”

pięć okazów buków zwyczajnych. Ich wiek określany jest na 180–220 lat. Mocno rozrośnięte korony drzew ocieniają utworzone tu miejsce wypoczynku dla osób pragnących odetchnąć wśród przyrody po trudach dnia codziennego.



Aleja bukowa w parku przydworskim w Cewicach

Bardzo cennym pod względem przyrodniczym jest również potężny, owocujący okaz bluszczu pospolitego (*Hedera helix*), porastający fragment muru przy głównym wjeździe do zespołu pałacowo-parkowego w Łebuni.



Rezerwat przyrody „Karwickie Źródlika”

Połowa powierzchni gminy objęta jest ochroną przyrody w ramach Obszaru Chronionego Krajobrazu „Fragment Pradoliny Łeby i wzgórza morenowe na południe od Lęborka”. Teren ten porastają lasy o bogatym

składzie gatunkowym i zróżnicowanej strukturze wiekowej. Urok tego obszaru podkreślają przełomy rzek Okalicy, Sitnicy i Unieszynki.

W granicach gminy znajdują się dwa obszary sieci Natura 2000: Dolina Łupawy i Karwickie Źródlika. Na tym ostatnim obszarze powstał rezerwat przyrody „Karwickie Źródlika”. Położony jest na południowej krawędzi lasów leśnictwa Święte. Obejmuje fragment lasów w pobliżu wsi Karwica z naturalnymi źródłiskami rzeki Unieszynki. Znajdują się tu rzadkie gatunki flory i fauny. Atrakcją rezerwatu jest fragment torfowisk z licznymi ciekami wodnymi, porośnięty olchą. Woda, wydobywająca się ze stoków porośniętych ponad stuletnim drzewostanem bukowym, spływa i zasila rzeczkę.

Jedną z ciekawostek przyrodniczych gminy jest „Diabelski kamień” – potężny głaz narzutowy, położony na północ od Maszewa Lęborskiego, przy polnej drodze do Małoszyc. Kamień wystaje z ziemi na półtora metra, a jego obwód wynosi około dwunastu metrów. Jest jednym z największych na terenie powiatu lęborskiego. Wyróżnia się bordowo-wiśniową barwą, stąd też nazywany jest często „Czerwonym kamieniem”.

Justyna Woźniak

Rozdział 5

Portrety naszej kultury, folkloru i tradycji

Nasza gmina znana jest nie tylko z pięknej przyrody, ale również z tego, że uważana jest za najbardziej kaszubską gminę powiatu lęborskiego. Występuje u nas swoistego rodzaju mieszanica kulturowa i etniczno-narodowa. Teren gminy, który przed II wojną światową znajdował się poza granicami Polski, zamieszkuje, zróżnicowana pod względem pochodzenia, ludność. Znajdziemy tu m.in. mniejszość niemiecką, mniejszość ukraińską oraz Kaszubów.

Z racji położenia naszej gminy na Pojezierzu Kaszubskim, co najmniej kilkanaście procent jej mieszkańców to Kaszubi, dlatego folklor i tradycje kaszubskie są tu ciągle żywe.

Kaszubi szczególną uwagę przykładają do zachowania języka kaszubskiego. Dla niektórych jest to pierwszy język, którego nauczyli się i jedyny język, którym posługują się w domu. Kaszubom zależy na tym, by młode pokolenia uczyły się języka, bo to jest sposób na jego ocalenie od zapomnienia. Sprzyja temu wprowadzenie do programu nauczania we wszystkich szkołach podstawowych w naszej gminie oraz w gimnazjum w Bukowinie

języka kaszubskiego. Na lekcjach kaszubskiego uczniowie nie tylko uczą się języka, ale również poznają kaszubską historię, kulturę, obyczaje i folklor. Dzieci i młodzież mogą pochwalić się swoją piękną kaszubszczyzną podczas corocznego konkursu „Rodnô Mòwa”, organizowanym przez Gminne Centrum Kultury w Cewicach. Przeprowadzane są również konkursy wiedzy o Kaszubach, kaszubskich zwyczajach, tradycjach i folklorze.

Kaszubi mogą pochwalić się ciekawymi zwyczajami, związanymi ze świętami i życiem codziennym. Do dziś w naszej gminie można zetknąć się z niektórymi z nich.

6 stycznia domy odwiedzają Trzej Królowie. Zazwyczaj są to dzieci i młodzież, które w odpowiednim przebraniu, a niejednokrotnie z szopką, śpiewają kolędy. W zamian otrzymują od gospodarzy domostwa słodczy lub pieniądze.

Bardzo popularne do dziś są ostatki, obchodzone przed Środą Popielcową. W tym dniu organizowane są zabawy, podczas których tańczy się, je i pije do północy. Po ostatkach w wielu domach zabaw nie organizuje się aż do końca Wielkiego Postu.

Przetrwały również niektóre zwyczaje związane z Wielkanocą. Najbardziej popularnym jest dyngus, obchodzony w drugi dzień świąt. Tego dnia chłopcy smagają, czyli „dyngują” dziewczęta po nogach gałązkami jałowca.

Kultywowanym do dziś świętem jest również sobótka, która przypada w przeddzień św. Jana, czyli 23 czerwca. Niezmiennym elementem nocy świętojańskiej jest ognisko, wokół którego odbywa się zabawa oraz puszczanie na jeziorze lub rzece wianków z zapalonymi świecami.

Dla Kaszubów ważną uroczystością były również dożynki, czyli uroczystości związane z podziękowaniem Bogu za plony, a rolnikom za ich trud. Z tej okazji organizowane były m.in. wielkie zabawy, podczas których cała wieś bawiła się. Święto to obchodzone jest w naszej gminie do tej pory, choć zmienił się jego charakter. Ludowy zwyczaj przybrał formę festynu organizowanego przez władze samorządowe.



Dożynki gminne w 2013 roku w Cewicach

Kaszubi posiadali również ciekawe zwyczaje związane z życiem rodzinnym: kojarzeniem par, swataniem, małżeństwem, weselem. Dziś jednak nie są one już praktykowane. Zachowały się natomiast zwyczaje związane ze śmiercią i pogrzebem, gdyż pamięć o zmarłych jest dla

Kaszubów bardzo ważna. Kaszubi dużą uwagę przykładali do tego, by ich bliscy przed śmiercią pojednali się z Bogiem, ale również z ludźmi. Dlatego starali się, by ich bliscy przed śmiercią spotkali się ze wszystkimi, z którymi za życia mieli jakieś nieuregulowane sprawy. Jeśli nie udało się spotkać z umierającym przed śmiercią, Kaszubi składali mu wizytę przed pogrzebem, bo wierzyli, że zmarły czuje ich obecność. Stąd też wziął się zwyczaj organizowania w przeddzień pogrzebu tzw. pustych nocy. Na pustą noc zapraszano krewnych, przyjaciół i sąsiadów, którzy przybywali wieczorem do domu zmarłego. Goście najpierw wchodzili do izby, w której leżał w trumnie nieboszczyk, by pomodlić się za niego. Następnie gromadzili się w innej izbie na posiłek oraz wspólną modlitwę i śpiewy. W przerwach wspomniano zmarłego i jego życie. Goście rozchodzili się do domów dopiero nad ranem. Puste noce jeszcze kilka lat temu były w naszej gminie zwyczajem często spotykanym. Obecnie, gdy zmarli do dnia pogrzebu przebywają w domach pogrzebowych lub kaplicach, organizowane są znacznie rzadziej.

Wciąż żywym w naszej gminie zwyczajem jest zażywanie tabaki, czyli sproszkowanego tytoniu. Tę typową kaszubską używkę, którą wciąga się przez nos, zażywali nie tylko mężczyźni, ale również kobiety. Kilka lat temu w Cewicach organizowana była impreza pt. „Kaszubskie Tabaczenie”, podczas której wybierano mistrza w zażywaniu tabaki.

Kaszubi to ludzie pracowici i poważni. Nie stronią jednak od dobrej zabawy. Okazją do niej są nie tylko ostatki, sobótki, czy dożynki, ale również imprezy organizowane m.in. po to by kultywować folklor kaszubski. Jedną z takich imprez jest „Biesiada Kaszubska”, która od kilku

lat odbywa się w czerwcu w Popowie. Podczas biesiady występują zespoły kaszubskie, organizowane są ciekawe pokazy, można skosztować tradycyjnych potraw. Impreza przyciąga nie tylko mieszkańców naszej gminy, ale również turystów.

Popowo to jedna z najbardziej „kaszubskich” wsi naszej gminy, w której szczególnie widać przywiązanie do kaszubskich tradycji i folkloru. Z inicjatywy lokalnego stowarzyszenia powstał tu kaszubski skwer, na którym stoi kapliczka z repliką figury Matki Boskiej Sianowskiej. W popowskiej szkole znajduje się natomiast jedyna w naszej gminie regionalna izba edukacyjna, która powstała dzięki darom mieszkańców. W izbie można obejrzeć ciekawą kolekcję przedmiotów charakterystycznych dla regionu Kaszub. Są to zarówno przedmioty używane niegdyś w domostwie, jak też narzędzie używane w pracach w gospodarstwie.

Kolejną wsią o silnych kaszubskich tradycjach jest Bukowina. W tutejszym kościele odbywa się droga krzyżowa z kaszubskim śpiewem, a w zespole szkolno-przedszkolnym działa chór dziecięcy, który m.in. śpiewa pieśni kaszubskie. Organizowane są również imprezy promujące kaszubskie tradycje, chociażby „Bukowińskie zapusty”. Organizowana jest w ostatnią niedzielę karnawału przez mieszkańców wsi i członków Stowarzyszenia „Rozwój Bukowiny”. Podczas zabawy kaszubskie zwyczaje przeplatają się z muzyką w wykonaniu gminnych chórów i zaproszonych artystów. Oprócz przyjemnej dla ucha muzyki, publiczność uczestniczy także w tradycyjnym kaszubskim poczęstunku.



Zespoły Marëszki i Skrzaty

Promotorami folkloru kaszubskiego są również zespoły folklorystyczne: Marëszki i Skrzaty.

Zespół Marëszki powstał w 1989 roku i początkowo składał się z członkiń Kół Gospodyń Wiejskich z terenu gminy Cewice. Kaszubska nazwa zespołu oznacza nic innego, jak „Marysie”. Takie właśnie imię nosiło kilka pań śpiewających w pierwszym składzie zespołu.

W bogatym repertuarze Marëszek znajduje się wiele pieśni i kolęd kaszubskich. Inspiracji szukają w śpiewnikach autorstwa m.in. ks. Antoniego Peplińskiego i Jana Trepczyka. Choć głównym celem zespołu jest promowanie folkloru kaszubskiego, śpiewa również pieśni ludowe

z innych regionów kraju oraz pieśni w języku esperanto i w języku niemieckim.

Bardzo ważną datą w historii zespołu był czerwiec 1999 roku. Podczas wizyty papieża Jana Pawła II w Sopocie Marëszki znalazły się w tysięcosobowym chórze, który śpiewał podczas mszy świętej na Hipodromie. Ten występ dostarczył paniom wielu wzruszeń i na długo zapadł w ich pamięci. Zespół z wielkim zaangażowaniem popularyzuje folklor kaszubski na wielu krajowych imprezach, przeglądach czy konkursach. Marëszki mają również spore zasługi w promowaniu kaszubszczyzny poza granicami Polski. W czasie ich licznych zagranicznych podróży tradycyjne pieśni kaszubskie mogli usłyszeć mieszkańcy takich krajów, jak Litwa, Łotwa, Ukraina, Węgry, Niemcy, Luksemburg, Belgia, Francja, Holandia, Słowacja, Bułgaria, Serbia, Chorwacja, czy Turcja.

Od 2007 roku Marëszkom towarzyszy podczas występów dziecięco-młodzieżowy zespół regionalny Skrzaty. Zespół powstał w 2001 roku. Pomysłodawczynią i zarazem kierownikiem zespołu jest pani Katarzyna Cybula, której mama występuje w zespole Marëszki. Od początku swojego istnienia Skrzaty przeszły ogromną metamorfozę. Początkowo w zespole występowały tylko dziewczęta, ale w 2006 roku dołączyli do nich chłopcy. Obecnie zespół liczy 20 osób: dzieci i młodzież, również tę studiującą i pracującą. Skrzaty śpiewają i tańczą przy akompaniamencie tradycyjnych kaszubskich instrumentów: akordeonu, skrzypiec i burczybasa. W repertuarze Skrzatów znajdują się tańce i pieśni kaszubskie, a także proza i poezja kaszubska.

Justyna Woźniak

Rozdział 6

Portrety naszej kuchni, czyli co jada się i pija w Gminie Cewice

Tradycyjne jedzenie to dziedzictwo przekazywane z pokolenia na pokolenie. Z racji położenia naszej gminy na terenie Kaszub najbardziej znanymi i przyrządzanymi w wielu domach potrawami są dania kuchni kaszubskiej, w której wykorzystuje się bogactwo lasów, jezior, sadów, łąk i pól.

Jednym z podstawowych składników kuchni kaszubskiej są ziemniaki, bo na słabych i piaszczystych glebach łatwo było je uprawiać. Ziemniaki spożywano niemal codziennie pod różnymi postaciami: gotowane w mundurkach lub obierane, jako dodatek do zup, mięs oraz smażone w postaci placków. Do tej pory w menu wielu kaszubskich domów, również w naszej gminie, można znaleźć plince i pulki.

Plince to placki z utartych ziemniaków usmażone na patelni. Są bardzo smacznym i pożywnym daniem, podawanym jako główne danie obiadowe lub jako przekąska w ciągu dnia. Przepis na plince jest bardzo prosty: uciera się surowe ziemniaki, wyciska z nich sok, miesza się z mąką i jajkiem, dodaje soli i smaży na gorącym oleju. Plince powinny być cienkie i chrupkie, a najsmaczniejsze są z dodatkiem cukru, śmietany lub miodu.

Równie popularne są u nas pulki, czyli ziemniaki ugotowane w mundurkach, najczęściej podawane ze śledziem. Jest to typowe kaszubskie danie postne, serwowane w tradycyjnych domach w piątki. Równie smaczne są pulki podane z kwaśnym mlekiem lub maślanką.

W tradycyjnej kuchni kaszubskiej można również znaleźć ciekawe receptury na smaczne dania mięsne. Jednym z kaszubskich przysmaków jest kielbasa biała surowa, sporządzana z wyselekcjonowanego mięsa wołowego i wieprzowego oraz naturalnych przypraw. Kielbasa ta powstaje z mięsa wołowego i wieprzowego połączonego z naturalnymi przyprawami, takimi jak: czosnek, majeranek, czarny i biały pieprz oraz sól. Dawniej białą kielbasę wyrabiano w domu, przeważnie z okazji różnych świąt, np. Bożego Narodzenia, a przede wszystkim podczas świąt Wielkiej Nocy. W bogatym chłopskim domu podawano ją obowiązkowo na wielkanocne śniadanie. Choć obecnie nie wyrabia się jej już w domach, to nadal króluje na naszych stołach podczas wielkanocnego śniadania.

Przy okazji świniobicia kaszubskie gospodynie wytapiały smalec ze świeżej słoniny, bo był on podstawą zapasów spożywczych. W każdej spiżarni stał garnek kamienny ze smalcem i skwarkami. Cewickie gospodynie domowe nadal przygotowują smalec według starej receptury: drobno pokrojoną słoninę wytapiają w rondlu na niewielkim ogniu, w odpowiednim momencie dodają posiekanej cebuli, a kiedy skwarki nabierają złotego koloru, zdejmują garnek z ognia i dodają odrobinę pieprzu i soli do smaku. Do dziś na wielu gminnych festynach można skosztować świeżego wiejskiego chleba z pysznym smalcem ze skwarkami i kiszonym ogórkiem.

W kuchni kaszubskiej zupy gotowano bardzo syte i pożywne. Zależnie od pory roku wykorzystywano produkty z pól, ogrodów oraz lasów. Gotowano je z mięsa, podrobów, kości, ryb i owoców zabielając mlekiem, maślanką lub śmietaną pochodzącą z własnego gospodarstwa. Do dziś na wielu stołach w naszej gminie można spotkać zupę brzadową. Choć jej nazwa brzmi tajemniczo, to kryje się pod nią tradycyjna, postna zupa z „brzadu”, czyli z suszonych owoców: gruszek, jabłek, śliwek i wiśni pochodzących z przydomowego sadu. Do jej przygotowania wykorzystuje się ususzone owoce oraz mąkę, cukier, sól, drobne kluski oraz mleko lub śmietanę. Jest to tradycyjne, postne danie kaszubskie. Zupa, słodka w smaku, jest ulubionym przysmakiem niejednego dziecka.

Kaszuby to rejon obfitujący w smaczne owoce i aromatyczne zioła, a te są podstawą sporządzania nalewek. Ich receptura jest prosta: wystarczy zalać owoce spirytusem, po kilku tygodniach posłodzić powstały płyn, wymieszać, przelać do butelek, które później się korkuje i odstawić na parę miesięcy w ciemne i chłodne miejsce. Najczęściej są u nas sporządzane z owoców wiśni, pigwy, jarzębiny, dzikiej róży, a także szyszek sosny. Są skutecznym lekiem przy wielu dolegliwościach, a także nieodzownym atrybutem towarzyskich spotkań.

Ale z owoców można sporządzać nie tylko nalewki, czy też konfitury, kompoty czy dżemy. Jedna z naszych mieszanek, pani Zofia Smardz z Krępkowic, słynie z przyrządzania pikantnej musztardy z jabłek. Ten przysmak zachwyca każdego, kto go skosztował. To doskonały dodatek do potraw. Pomysł na przygotowanie musztardy powstał z potrzeby wykorzystania jabłek, które rosną w sadzie pani Zofii. Do jego

sporządzenia, obok jabłek, używa się cukru, czosnku, chili i imbiru. Pikantna musztarda z jabłek ma wielu wielbicieli. Produkt ten zdobył również pierwsze miejsce w konkursie o Certyfikat Marki Zielone Serce Pomorza w 2012 roku.

Justyna Woźniak

Bibliografia

Dołowy Nicole, *Kaszubi z Pomorza*, Gdynia, Wydawnictwo REGION & Nicole Dołowy-Rybińska, 2010, ISBN 978-83-7591-080-3

Gulgowski Izydor, *Kaszubi*, Wyd. II, Gdynia, Wydawnictwo REGION, 2009, ISBN 978-83-7591-053-7

Obracht-Prondzyński Cezary, *KASZUBI DZISIAJ. Kultura – język – tożsamość*, Gdańsk, Wydawnictwo „Bernardinum”, 2007, ISBN 978-83-89079-78-7

Źródła:

Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi, <http://www.minrol.gov.pl/Jakosc-zywnosci/Produkty-regionalne-i-tradycyjne/Lista-produktow-tradycyjnych/woj.-pomorskie>

Niektóre użyte w książce nazwiska, imiona i nazwy miejscowości zostały zmienione.

Chapter I

Portraits of our villages

“We, Brother Winrych von Kniprode, the Grand Master of the Order of Brothers of the German House of Saint Mary in Jerusalem, in the presence of fellow dignitaries, hereby proclaim before our trusted brothers Walter and Klause and brothers Gunter and Walter, the descendants of Hannus, all Inheritance Rights and Liberties, and under the Magdeburg Law we bestow upon them and divide equally among them and their successors, 60 fields of corn lying within the area of Cewice. In exchange for that, we expect them to turn up in full armour whenever needed, to take part in all crusades led by the Order, to defend our territories, to build new castles, and to restore or demolish the old ones. What is more, we lay a levy upon their fields of corn – one weight of oats to be provided, whereas in honour of the Order authority, they are also supposed to hand over one pound of candle grease and one Cologne pfennig, or five German pfennigs. We also expect them to acknowledge their subservience. On our part, as an act of our confirmation, we attach the Order's seal to this letter, which is now being surrendered to them in Lebork, on the Day of St. Andrew the Apostle, on November 30, 1362, in the presence of witnesses: our beloved brother Wolferam von Baldersheim – the Grand

Commander, Gieselbrecht von Dudelsheim – the Grand Commander in Gdańsk, Wicbolt – our chaplain, Cumot von Calamunte – our companion, and many other honourable people.

The act of granting Cewice to the Grela brothers presented above is the earliest known, written record in which the village Cewice is mentioned for the first time. The document seems to confirm speculation that the settlement was privileged for some reasons, which can be seen, not only in the way it was granted to the brothers (a form of tribute was established), but also in the fact that Cewice was conferred Magdeburg rights (town privileges). What is more, since the Grela family were bestowed the land under the German Law, one may assume that they must have been members of the Pomeranian nobles. For over 400 years, up to the end of the 18th century, major lands within the region of present-day Cewice, such as Łebunia, Maszewo, Bukowina, Siemirowice, and Osowo, were owned by different families from the Grela line. However, the first detailed historical record about Cewice with no mention of the family as legal landowners is from 1784.

It is approximately 1.5 miles from Lębork to the southwest on the postal route Słupsk-Lębork. It comprises two farms, seven peasants, 7 peasants without land, and two inns. One of the inns – 'Pusty Dzban' ('Empty Jar') is located on the postal route. There also lives one teacher in the village, while by the Bukowiński stream there is a farm called Bór. There is also an oak, beach and birch forest. The

village consists of 27 households. There is also a cowshed belonging to the village of Łebunia. All these estates are under the ownership of Joachim v. Wobeser and his wife Maria Henrietta from Wejherów, and of Johan v. Demiński and his wife Karolina Ludwika from the Schachmann family".

Politically, the Grelła period saw many changes and different rulers (the Teutonic Order, the Prussians, Polish and German rulers etc.). Despite the fact that, for many reasons, those times underwent turbulent historical transformations, the Grelła family did not lose its social position, and throughout the period they managed to play a significant role as a ruling family. There is, for instance, historical records from the 15th century telling about Czcibor Grelła from Łebunia who, between 1417 and 1440, was a land juror in the Commandry of Gdańsk and a witness assisting with issuing acts by the Order's Commanders (the Komturs). A very oppressive policy carried out by the Teutonic Order towards local people caused an opposition in the society, and in 1440 a group of nobles and clergy, together with 19 towns in Prussia, formed an organization against the Teutonic Knights called the Prussian Confederation. Again, it was Czcibor Grelła who sealed the Act of Accession on behalf of the Łębork Knighthood. In 1454, in turn, when the Congregation declared disobedience to the Order, Czcibor's son, Gunter Grelła from Łebunia, acting on behalf of the Knighthood from Gdańsk, officially paid tribute to Casimir IV Jagiellon, king of Poland, and sealed with his own name the Act of Submission of Prussian states to the King's authority. Gunter

Grela was also the one who, in 1455, prevented the Teutonic Knights from recapturing the lands of Łebunia. Finally, Prussia was incorporated by Poland, then transformed into the future Duchy of Prussia (an entity functioning as a fief of Poland), and eventually, after over 150 years the Teutonic dominion over these regions ended. Between the 16th and 18th centuries, the name Grela appears frequently in various historical documents. Nevertheless, over the course of years, while their social position was gradually diminishing, giving way to influential Prussian dukes and wealthy Prussian magnates, the name finally disappears from historical papers. Presumably, it could have disappeared naturally, due to marriages and changes in landownership.

There is also a dark story of one of the Grela houses who were murdered. According to oral tradition, at the turn of the 18th century, the Grela family from Łebunia died a tragic death, murdered by one of the hired hands who, for unknown reasons, went on a rampage, killing all the home-dwellers, including their pets (cats, dogs, and even a bird kept in a cage). The whole family was interred in one grave at a nearby graveyard in the woods on the outskirts of the village, about 150m from the road running to Osowo. All animals were buried next to the family. Later, a shrine was constructed upon the grave where other relative landowners from Łebunia were buried over the next years as well. Only 15 years ago, the shrine looked quite well-preserved, but now is a pile of rubble. The graveyard is now also in poor condition, robbed and devastated either by people having no respect for the dead (especially for followers of a different faith), or by ruthless treasure hunters pillaging graves to find

valuables. Unfortunately, now one can see only plundered and battered tombs or shrines stripped of marble and brick tiles.

The Grela family contributed largely to the present lay of the region, its status, development and the scenery. Certainly, they constitute an inseparable part of our history which is deeply embedded in the past. The remnants of those distant eras can be noticed everywhere, such as burial mounds (barrows) that can still be seen in the woods of Siemirowice. The burial ground comprises 122 mounds, and it can be found in the north-west of the village by the road running through the woods from Siemirowice to Oskowo. A lot of people know about these barrows. Once, the place was a tourist attraction for whole families, schools, and individual excursionists. A few years ago, an information board with the history of the region was placed next to the approach road, so now tourists can easily learn about the area.

In 1930, 1957 and then in the 1970's, the barrows were excavated by Polish and German researchers. Based on the archaeological findings (metalwork, potsherds etc.) researchers agreed that the burial mounds date primarily from the Bronze Age (1000-800 BCE). Consequently, a simple calculation allows us to state that they are 3000 years old, and therefore, can be classified as belonging to the so-called East Pomeranian Lusatian Culture period.

The archeological excavations revealed that there were usually 5 dead bodies interred in each barrow. The average life expectancy for women was 25 to 35 years, while for men it was 35 to 40 years of age. Some barrows contained skeletons of only one woman with a child, and the

average age of interred children was usually 2.5 to 5 years old. During excavation, 122 burial mounds were counted. Unfortunately, many of them were later devastated and robbed by treasure hunters, so the number of remaining barrows has actually decreased. It appears, however, that it was local farmers who contributed to a great deal of damage to these graves. Before and after WWII they used tombstones as construction material for home building. Similarly, much of the damage was done by the Regional Waterways Board, which in 1956 used stones from barrows to strengthen the Vistula banks in Tczew. Fortunately, the response of architectural preservationists, who intervened in time (though a little bit late), stopped further devastation of the graves. Certainly, these burial mounds still keep many secrets which deserve thorough scientific exploration. In the future, visitors would be delighted to see sectional views of barrows, find out how they were built, and learn the reasons for their varied size and location.

Having the opportunity to write about burial mounds, I feel obliged to say a few words about my own experience. I personally experienced a mysterious phenomenon at the burial mound site, which so far, to my knowledge, has not been mentioned by anyone in any historical studies. Namely, each barrow seems to radiate energy. I don't know what kind of energy it is, whether it is positive or negative for people. But I examined magnetic radiation several times with the aid of a dowsing rod used on barrows in Siemirowice, and also in other areas. Now, I'm so familiar with the phenomenon that I can easily recognize barrows constructed by humans, and successfully distinguish between typical hills resembling

barrows and real burial mounds. As a matter of fact, the barrows are present throughout the whole region, which only confirms that it must have been heavily populated during the Bronze Age.

Over ten years ago, as a town official familiar with the territory and its history, I visited the burial ground in Siemirowice. I was accompanied by an official from the Museum of Leborg, and a dowser who was equipped with dowsing rods, pendulum and other types of tools used to detect energy. The main goal of the research trip was to mark the terrain and then to provide information boards in order to introduce the people to the history of barrows, and obviously, to attract tourists. While my companions were busy detecting energy and measuring barrows, I was holding one end of the tape measure. Curious about the dowser's methods, I carefully watched the behavior of his instruments serving as energy sensors. Depending on the location, they tended to respond differently. From the beginning, I must confess I was very skeptical about the whole operation. I was even more doubtful than doubting Thomas, who believed the moment he saw, whereas I was a much more difficult case. So I decided to inspect things myself, and with a pendulum I came into the stone circle made up of barrow stones. I let the pendulum hang loose on a thin string about 20 cm long and... nothing happened. I was about to attest as an 'unbeliever' when suddenly, the pendulum moved. It started to swing from side to side, then after a while, to spin very fast. I don't remember the direction it was spinning (whether it was right or left), but I do remember that if I had released the string from my hand that moment, it probably would have gone flying several meters away. The

dowser took the pendulum away from me, explaining that its behavior must have been caused by my natural predisposition, similar to the one he was alleged to possess. He warned me also about the detrimental effect the unleashed energy may have on a person engaging in these types of activities without proper experience. Since I still had much doubt about the whole thing, I decided to test out the rods. I know, at my age it may sound ridiculous, but just as Thomas the Apostle had to see and feel the wounds, I also needed to 'experience' this mystery for myself. So, the two typical rods in my hands did not move at the beginning. However, as I was approaching the centre of the circle, they suddenly turned in opposite directions from each other. As I stood there, the rods were vibrating up and down, moved by an unknown force. They behaved as if they wanted to break away from my hands and sink into the ground. It only lasted for a while, but as it turned out later, it was still too long. We left and returned to our normal duties, but I was not able to work because I soon got a blinding headache. Normally, I would only get migraines during weather changes. This time it was so unrelenting that it affected my vision for a few days. It was clear to me that it was caused by the energy emitted by the barrows, in which I had not believed before. I decided to visit the two men who took part in the experiment. The dowser managed to free me from the pain with the aid of the pendulum and a few gestures over my aching head. I was rehabilitated and after 15 minutes, enjoyed life as normal again. Just as before, headaches again returned only during weather change. I was told later that without the help of a dowser I would only have recovered after a few weeks or even months.

People say that standing in the middle of the stone circle for a little while may have a healing effect, however I advise against making this a frequent practice and suggest stopping after 'a little while'. Walking in the woods imbued with 3000 year old mysteries while breathing fresh air certainly provides very physical and mental benefits, while also being good for physical health and contributing to a sense of peacefulness. Since it is the 21st century, perhaps there is something more we could do about the barrows, these awesome 3000-years-old relics which need detailed historical studies. As well as the Lusatian Culture settlement (from the Bronze Age) in Siemirowice, lying 300m to the south-west of the old school building, still waiting to be unearthed.

A similar settlement was also located in Siemirowice 600m to the south of the old school. It could possibly be the verge of the same settlement of the Bronze Age, although the archaeological findings speak about the existence of occupancy from the early Middle Ages. What is more, a number of discoveries were reported in old German historical records, such as chest graves (tombs built of stone slabs), bronze urns and Roman gold coins minted during the time of the Emperor Nero. Interestingly, although evidence of settlement and trade can be found throughout the region, nowhere else can be found as many relics of the past as in Siemirowice. The settlement, for example, I mentioned to be from the Bronze Age, is so imbued with archaeological artifacts that each time after ploughing one can easily find pieces of clay pottery.

The places chosen by early settlers to live were carefully selected. Nowadays, when looking for a perfect place to build a house, or when

deciding to buy a flat, we take into account a view out of the window, its appearance, sunlight exposure, good accessibility to public facilities, and many other aspects. Nothing has changed, actually. In the past, when deciding where to settle, the elders of a given community primarily took into consideration accessibility. The most important criteria was food availability – quick access to forests with wild game, or rivers and lakes abundant in fish. The defense factor also played a decisive role, hence floodplains and impassible marshes were desirable for security from enemies. Siemirowice seems to have given the settlers natural protection in the form of extensive and inaccessible bogs from the north, through which a river, later named Bukowina, lazily flowed.

Another region where traces of early settlement can be found are Unieszyno and Unieszynko. You would be mistaken to think that a small river or present landscape conditions were not a barrier for invaders in the past. These wetlands have changed drastically over time. Bogs changed into meadows, now the small river Unieszynka used to have a tendency to overflow, especially during heavy rainfall, making the terrain impassable. I suppose, both the Unieszyno and Unieszynko countrysides must have had an equally rich history of settlement as Siemirowice had, if not richer.

In the forest to the northwest of Unieszynko, on the north side of the Unieszynka river, one can find a burial ground dating back to the Iron Age. In 30 remarkable burial mounds lie the remains of human bodies, probably the settlers of some old village, waiting for discovery. Unfortunately, some of them were ploughed over by heavy equipment about

8–10 years ago while forest planting. Surprisingly, nobody noticed while ploughing that almost identical stones of regular shape were accumulating to the sides. Behind the forester's lodge in Unieszyno, by the road to Pogorzelice, another graveyard has been discovered in a flat area. The remains of people belonging to the Pomeranian Culture from the Early Bronze Age lie there. Traces of human occupancy (fragments of pottery of the Middle Ages) found in the north-west corner of the cemetery seem to prove that the present village of Unieszyno was set up exactly on the site of the early medieval settlement which once existed.

Unieszyno is rich in cemeteries and graves, which suggests that the place was inhabited. Right behind a small Evangelical graveyard lying on the hill (the former schoolyard field), on the right side of the road to Maszewo, there is a cemetery in which there are remains of people from the Pomeranian Culture living in what came to be known as the Early La Tene period (400BC – 100BC). There are also other graveyards in Unieszyno, which will be discussed later.

In the 9th century, Christianity had already become the religion of most of Europe. Poland was an example of one of those countries which were rather slow to follow the trend, but for various political reasons it was forced to adopt it eventually under Mieszko I, the Polish ruler. In order to protect Poland from Germany's military campaign against pagan cultures, Mieszko received baptism in 966 from the Czech King. Areas belonging to Cewice, which were the protectorate of the Pomeranian Duchy, adopted Christianity much earlier, and in this way seemingly prevented it from being invaded by the Crusaders

who spread Christianity through devastating attacks. Unfortunately, the religion did not protect local people against falling into the clutches of the Teutonic Order at the beginning of the 14th century. Life within the ambit of Teutonic control was definitely not a pleasant experience for local people, especially for landowners. The Order practiced re-establishing land tenure to the people. By doing so they claimed to recognize people's ownership over lands, villages, mills, etc., but at the same time introduced taxes, tributes, duties and other forms of obedience to the Commandaries (Komturei). Particularly in the case of war or construction projects, settlers were obliged to assist as Teutonic auxiliary forces. Seemingly, while reading legal acts of giving land tenure to people, one may get the impression that the Teutonic Knights were genuine benefactors to the villagers, deserving local respect and gratitude. Nothing could be further from the truth. All the acquired freehold rights were based on Magdeburg Laws, which implied perpetual ownership granted to landowners, but under these laws no female descendant had any rights regarding the succession of the land. In practice, many landowners did not have a male heir, and even if they had, a common occurrence was that he died from unexplained circumstances. Consequently, the Order would take over the assets of local people on a large scale.

At the turn of the 11th and 12th centuries, Christianity had already largely replaced other pagan religions. Although the first Christian church was constructed in Unieszyno, it was the village of Łebunia that became the seat of the Christian parish. This seems to indicate that Lębork did

not exist yet. Since Białogard was the seat of administration, Łebunia must have been a place of great significance.

All archeological findings seem to suggest that the present-day villages of Unieszyno and Unieszynka lie exactly where the old settlements once existed. It is almost certain that originally the first Christian church of Łebunia Parish stood on the hill at the crossroads of Unieszyno and Unieszynka villages. Presumably, it was a timber church founded on fieldstones. Obviously, this type of construction could not survive, and when it eventually crumbled or possibly burnt down after being struck by lightning, a new church building was built on the site. Although visible traces of its existence cannot be found today, there are remnants of original stone stairs on the southern side of the hill, at the turn of the road to Maszewo. Today, partly covered with earth and overgrown with bushes, the stairs constitute the beginning of the two-meter long path running further up to the north corner of the hill. I remember, that walking on the path one used to pass old graves on the right side which were set in two rows and separated by a narrow lane. The terrain of the graveyard was clearly lower in elevation than the path itself. From the stone stairs the first tombs were situated right by the road and next to the cemetery fence. They were massive stones with ceramic tiles embedded into iron crosses on which basic information was inscribed, such as the person's name or the date of birth and death. Other tombs were richer, each had a big stone cross with a black or white tile, telling not only basic facts about the dead, but also providing some information about one's profession or personal

epitaphs. Family graves were usually set apart with forged metal bars which, if preserved, demonstrated the best of a blacksmith's work. There were also single graves, fenced with metal bars or heavy forged chains hanging on stone pillars. Walking a few meters further, one would reach the saddest part of the graveyard – children's graves. It was supposedly the same row and the same alley, but the graves looked different. They were simple stone or timber tombs irregularly spaced, primitive mounds with or without a cross. Some of them were fenced off and surrounded by small yards, and all of them were covered with grass, flowers or overgrown with ivy. Although nobody took care of these graves, forget-me-not flowers, narcissuses, and even lilies dominated over weeds. The graveyard was beautiful. I still remember from my childhood going there with other boys of my age to pick gooseberries growing beside the fence, and also beside the last inhabitant of Unieszyno from before the Second World War who was interred there at the beginning of the 1950s.

The remnants of the old burial ground could be found to the right of the path, beginning with the stone steps. The whole cemetery area made up a third of the flattened part of the hill. Originally, the place to the left of the path must have been used for some other purposes, as the stone steps and the main alley looked as if they had been an integral part of that side rather than of the graveyard. This can be inferred from the depressed ground level where the first two rows of graves are. Therefore, I would venture to say that everything, including the trees surrounding the area (which are monumental and very ancient in comparison to the

others), seems to support the idea that some kind of a building once must have stood there, most likely a small church or a chapel.

Generally, up to the 1960s, pre-war cemeteries had been well-preserved – most of them were evangelical. They were falling into a state of dilapidation naturally as a result of collapsed stones or when damaged by falling trees. Once, the tiles with the dead names, dates and epitaphs were in legible condition. One could read that most of the buried were born at the beginning of the 19th century, though a number of them dated back to 1770–1800. Strangely, at the graveyard in Unieszyno there were only a few graves present. The village was indeed small, however it comprised hamlets of Unieszyniec (former Neu Wenneschin Forsterei), Unieszyno Osada Leśna – Unieszyno Forest Settlement (former Wunneschin Wald), and Unieszyno Leśnictwo – Unieszyno Forestry (former Wunneschin Forestrei). Nevertheless, there was another cemetery in Unieszyno which does not exist now, but I remember that place perfectly well since it was unusual and in no way resembled gloomy cemeteries.

It lay about 500 meters north-east of the village next to the forest road running to Unieszyno, and further to Krępkowice. At present, the burial site is a part of the forest, however in the 1960s it clearly stood out as a separate place. It was more or less 100 square meters in the south-facing area and was fenced off with massive field stones arranged in a row. Between the rows of tombstones one could see white birches and a cemetery chapel in the middle of the graveyard. The chapel was white, its grey roof supported by columns decorated with golden and yellow ornaments. Everything was bright and cheerful as if it were children's park. Never

in my life have I seen such a bright cemetery. Even the road leading to it seemed friendly, as if it were inviting me to visit. And I used to go there frequently, especially because the road running through the forest offered shortcuts. Then one had to take the cart track from Unieszyno, next to which a beautiful dense forest appeared. On the southern side of the track the field stretched downwards to the River Unieszynka, and the place constituted an excellent vantage point from which one could look across the whole Unieszyno and see the already-mentioned cemetery hill. About 100 meters in front of the cemetery, on the left side, one could notice a mill wheel jutting out from the ground. Probably everyone who passed it wondered about the circumstances in which the wheel had come so far from the mill. There were so many stories told by local people about these places. Once, for instance, I heard from a hunter about an alleged treasure hidden under a massive rock, which supposedly was later uncovered. Walking by one day, the hunter noticed that the rock had been moved, revealing a concealed empty pit the size of a beer barrel. At around the same time the above-mentioned cemetery disappeared in Unieszyno. It is hard to determine who leveled it and why they did it. One thing is certain, at the beginning of the 1980s, nothing was left except of the remnants of one gravestone. Gone are the stones surrounding the cemetery, gone are the graves and the chapel, and gone are even the birches, now replaced by pines or wild trees. In this way the cemetery disappeared while the area was incorporated to the neighboring forest.

The first known historical record about the village of Krępkowice appeared in 1362. On the 17th of February of that year, Gdańsk commander

Giselbrecht from Dudeisheim gave land tenure over the area called Crampechowitz to four settlers: Seyfryd, Dominik, Maciej and Wincenty. However, the land ownership changed many times, and ultimately in the second half of the 19th century Krępkowice became the property of Count Leopold von der Osten von Jannewitz – the landowner of Janowice and Janowiczki villages.

The family von der Osten contributed to the rapid development of local villages. They constructed a manor house which served as a summer residence of the family. The rest of the year they spent living in Janowice. They set up, now no longer existing, farm buildings, as well as a small timber church in 1887 which, since 1890 was the permanent residence of the parish priest from the parish of Łebunia. The family also funded a church which was consecrated in 1906 and still exists today. At the same time, a pastor's house was set up on an adjacent land parcel (now called presbytery, but no pastor has ever lived in it). Later, next to the already existing buildings, an organist's house was built, and finally, a school was constructed. It can be stated for sure that Count von der Osten von Jannewitz was involved in the financing of these objects.

The count and countess used to entertain various noble guests in their estate in Krępkowice. Lords from Berlin, fond of hunting, were particularly enthusiastic about coming to the Osten residence. Forests were full of animals, and especially abundant with red deer and wild boar. Count Osten ordered the construction of a timber manor to help accommodate guests, which later was called a Hunting Lodge. The fame of the forests of Krępkowice and the generosity of the Ostens' was well-known by the

people for a long time. During Nazi Germany, Hitler's high-ranked officials used to come there from Berlin. The Hunting Lodge was particularly liked by Herman Goering, who was a keen hunter. He spent so much time there that the name 'Goering's Manor' (Goeringhaus) became commonly applied. At that time, due to having vast estates, Count der Osten von Jannewitz was widely acclaimed in Germany and a major figure in the region of Lębork. In 1940, in Krępkowice alone he owned 1,480 hectares of land, the majority of it being covered by forests. He also possessed the lake Brody, formerly known as Breitesee. Since the lake was full of fish, Osten ordered a bridge and a fisherman's cabin to be built where a hired fisherman, who was responsible for providing fish to the manor, could keep the fishing equipment. The place was named 'Fisherman' by the local people, and it is still remembered by the oldest villagers. Osten also had fishponds supplied with water from the Struga Krępkowicka river via a watermill. The remains of the mill can still be found by the forest river at the road running nearby an ancient oak called Świętopełek. This old tree has survived only because it is situated by the road leading to the river, and which also probably led to the watermill. Traces of that road are still visible, though now it is overgrown by the forest.

It is generally agreed that the Świętopełek tree is about 700 years old. However, pre-war German sources estimate the minimum age of the oak to be 800 or even 1000 years old. Similar estimation was provided by Polish natural scientists who carried out research in 1960s and deduced its age on the basis of a branch broken off due to a storm. Other scholars put forward more careful evaluations. If Świętopełek was indeed about

1000 years old, it would be older than the oldest tree in Poland – Bartek the Oak. Although for many people this sounds unlikely, the evidence shows it is highly probable. The Świętopełek oak may be smaller, but this can be caused by having poorer soil to grow compared to the Bartek oak which has always been growing in fertile soil. Even by the minimum age estimates, the oak has witnessed a fair chunk of our history. It was 100 years old when the Teutonic Knights ruled over these lands. Even the name has its source in a legend:

People lived well in Krępkowice under the reign of the Grand Duke Świętopełek. Though they were poor, they respected their master as he provided peace in their land and kept ubiquitous Teutonic Knights away. When the Duke died at old age the Teutonic Order took over the power over the lands stretching from Lębork as far as Bytów, and imposed higher taxes. Over time people paid for everything, for a stack of hay, for a sheaf of grain, for eating, for working, etc.. When a man killed a swine to eat, half of it he had to bring to the Lębork castle. Even the grain had to be milled in the castle mill, not in the local one. And all this was because the Knights demanded not only the tribute to be paid but also half of flour to be stored in the Teutonic warehouses, so that they could be always full in case of war. There was a mill near the River Struga in Krępkowice where an old miller had lived from the times of the Duke Świętopełek. Although he was Prussian by origin, he was a good man helping local people who lived in poverty. If some poor man could not afford to pay for

the grain, the miller used to give him an opportunity to work off the payment in the mill. There were times when due to harsh winters people had no food and then the miller used to lend the grain until the harvest time. And the people praised him for all he did. There were many who survived these hard times of the Teutonic Knights' rule only because of his kindness.

Once after haymaking, Kaszuba Grela set off to the mill with a sack of grain on his back. It wasn't far away, one could reach the place in half an hour taking a cart, but Grela didn't own a cart or an ox. His ox had died of old age, and since Grela could not afford to buy a new one he exchanged the cart for a sack of potatoes. He was walking slowly, every now and then lifting the burden off his back to take a rest. Since it was a very sunny and warm day, Grela decided to sit in the shadow of a roadside oak for a little longer. He could already see the mill down the road. The day was calm and windless, one could only hear the splash of water dropping from the mill wheel. Grela sat down, took his cap off his head, and must have taken a nap since when he woke up a bearded Teutonic Knight was standing beside him on a black horse. Although it was hot and Kaszuba wasn't a fearful person by nature, he felt shivers down his spine. The encounter did not bode well.

'Jesus Christ! If he takes my grain away, we will be eating nettle leaves' He thought. 'Or he may throw me into the Lębork dungeons right away! He'd better just take the grain and let me go free!'

It was hard to guess the Knight's thoughts as he stood against the

light and Grela was blinded by the sun, so he could not see his face.

'What do you have in that sack, peasant?' he asked.

Grela did not speak German well, but he understood his words, being accustomed to hearing German Knights as they were frequent guests in the village.

'I'm carrying the grain to the mill, Your Lordship, as we have run out of food' he replied

'Mind you, it's the opposite way to the castle mill' He said.

'Without a cart, I am unable to make it to the castle with this large sack. But over there,' and he pointed to the mill, 'the flour is equally good, and it's not far from my village, Lord'

'As a subject to the Gdańsk Commander you are to bring the grain to the castle mill! The commander is your highest Lord! Or maybe you serve some other lord?' The Knight snapped at the peasant angrily.

Once again Grela felt afraid. 'It's over for me,' He thought. But didn't show his fear, believing that his fate was already sealed. He only regretted that his wife would never know about what happened. 'Such things would never have happened in the times of our Grand Master Świętopełek!' – he thought, and spoke even more boldly:

'My Lord is more powerful than the Commander in Gdańsk!'

'Who is that lord?' asked the Knight balefully.

'Świętopełek!'

The Knight took out his sword, raised it up and screamed: 'Tell me where is your lord? He will be soon dead! And you will see his greatness then!'

Grela knew that in a moment he was going to die and meet Świętopetek indeed. He lifted up his hand and pointed to the sky to show his master's present residence.

'Ha, ha, ha!' the Knight burst out laughing. 'Is this your lord? It's only a tree, you stupid man! Go to hell, I'm not going to talk to you. I've never met such a fool in my life!'

He drew in the reins and left laughing mockingly.

The peasant came back home, told the whole story and since that moment people have called the oak after their ruler 'Świętopetek'.

Up to 1945, the majority of the land had been managed by Osten von Jannewitz, whereas 22 hectares of land near the mill belonged to the miller Max Bogs. Bogs at that time was quite a wealthy man. Beside the land he owned two horses, ten head of cattle, including six head of cows, and 20 head of swine. Another landowner, Siegfried Quasching, had 213 hectares of land, also 14 horses and 50 head of cattle, including 25 head of cows and 100 head of swine. Both Quashing and Count von der Osten and his family had gone to the West before the Red Army arrived. Bogs, however, did not manage to escape from his mill. The Red Army soldiers threw him out of his house and killed him. Even today one can see the tomb with his name and with a timber cross near the River Struga.

Oskowo – today a small and calm village, once one of the best-known places in Europe due to the borders which crossed here for centuries. It is a common knowledge that even in distant Middle Ages there was a

border between Siemirowice and Oskowo which separated these lands from those belonging to the Teutonic Order. During the reign of Pomeranian Dukes there was a frontier post office in Oskowo (formerly Wutzkow) lying right at the postal route from Berlin to Królewiec. This must have been a turning point in the history of the village. So far almost an unknown village, it then started to develop at a fast pace. Since it was there – at the border – where horses were usually exchanged for further travel, there emerged an inn, a night shelter, and stables for travelers. The Prussian King Friderick Wilhelm also ordered the construction of a king's house where he used to stay overnight when going to East Prussia. Depending on the political situation the electors of Prussia practiced changing the course of the postal route. However, it always ran through Oskowo. Various elements from the rooms inside the postal buildings are documented in prints which have survived from that period. Growth occurred in Oskowo until 1782, when the stagecoach services changed their route. One possible reason was described in recorded history. Levin Moses, a Jewish warder from Lębork, attacked and killed a postmaster, a stagecoach driver named Salonky in order to rob the valuables. Moses's official statement still exists in German records containing the description of the crime and his motive. The translation into Polish was made by Przemysław Szymła from Siemirowice:

The story of a murder committed by Levin Moses, a Jew, in October 1781 between Lębork and Oskowo near the village of Cewice, who in 1782 was convicted and sentenced to death by the Court.

It is a story about the murder committed in a stagecoach by a Jewish warden from Lębork named Levin Moses. It was in October 1781 between Lębork and Oskowo near the village of Cewice when Levin Moses killed a postmaster and stole two bags of money. It was the same man, who was then seen by people, driving a stagecoach in Cewice, so he soon pleaded guilty and in February 1782 he was executed in Lębork as a consequence of the Court's judgment.

The testimony of Levin Moses.

Three times I tried to kill that man. The first time I attempted to do that with the aid of a rod. Lurking by the road I waited for the stagecoach. When it eventually came, three farm workers were walking nearby so I abandoned my plan, put aside the rod, and walked away. Another time I waited for him in the village. When I heard the clatter of horses hoofs a thought came to me: 'This is all wrong, and I backed out. Then, the third time, I went near the village of Cewice and waited for the stagecoach once again. When it arrived, I asked the postmaster to take me with him, and he agreed for a bottle of whisky. I got on and he asked me to drive as he wanted to get some rest. He fell asleep when we were approaching Cewice. I woke him up and I said "You drive, I'm getting off in Cewice". He said "Do me a favor, go to the tavern, I can't myself as I'm drunk, and buy a bottle of whisky for me". He gave me 6 pfennigs and I went to the village. In the village, I hid a big knife in my breast pocket, which I lost later. I came back and we set off. I asked whether he wanted whisky and he said "give me the bottle", but eventually he decided not to continue

drinking as he was in charge of the carriage. He wanted to stay in the inn to water the horses, but I offered to drive the carriage so that he could have a rest. He said "Let it be so, my dear Jew". He had a bag of satin which I put under his back, and we continued travelling until five o'clock. He was sleeping so I stopped the stagecoach, put away the bridles, got off on the left side, and took a whip to beat him, but I couldn't reach him since he was lying too far inside the carriage. I came down to find some stones, and I hit his head with all four stones at once. He screamed, then I hit him two or three more times, I suppose. He was lying on the floor and babbling. Then I took him to the route leading to Stupsk and further up to the crossroads. As he was still babbling nonsense, I stopped and took out a bag with eighteen knives, and with one of them, I held his head and stabbed him in the throat, and he died. Then, with the knife, I cut off the binding straps of the leather bag, took out sacks of gold, and threw out the letters which were in one of the sacks. With the bags full of money, I ran through the fields to the village of Wuttin. I hid the money in the bushes by a stream. Then I went to a farmer living in the village whom I knew and he gave me a glass of water and tobacco snuff. He must have noticed blood on me, though I tried to hide it with my coat. But I left him with his suspicion. Worried about the money, I went to retrieve it. A sense of guilt made me buy some whisky on the way. I knocked at the door of the Inn in Osowo. The innkeeper offered me another glass of whisky and I paid one thaler and twenty groates which I had owed him earlier. This time I had the money. He

asked me whether I wanted to stay overnight as it was getting dark. I stayed. In the morning I met the Good Barones who asked if I had anything for sale. I told her I didn't, but that the fishermen should have some trout from the stream. I hurried back to the place by the stream to hide the bags with money again. There, I met a woman carrying firewood. When she asked me what I was doing there, I told her that I was waiting for my brother. I hastily ran across the field to the mill. There, the miller told me that I was being sought after and that he felt obliged to arrest me. I managed to escape by claiming that I was too drunk to be arrested and I went back to Oskowo where the stagecoach and postmaster had already been found. I didn't care much about that as I was to be arrested anyway. However, when testifying, I tried to lay the blame on the innkeeper, accusing him of complicity in the murder. I thought he would plead guilty under coercion and I would respond for my actions only before God and my conscience. I had neither robbed nor killed anyone before, and this was the first and last time. I am asking God for forgiveness and the Court for a lenient verdict.

The convicted Jew died a painful death, dying slowly on a breaking wheel in front of the Court in Lębork as well as the prominent townspeople and the gathered mob. What a shame. He could have pointed out the real place of the crime and the real route of the stagecoach. There are difference hypotheses and scenarios regarding where the original locations existed.

Focusing on the scene of the crime first, I have reason to believe that the murder was not committed between Wutzkow (Oskowo) and Zewitz (Cewice) but between Zewitz and Wussow (Osowo). Indeed, the place pointed out by Levin Moses where, according to various records, a memorial stone was made, is on the postal route between Oskowo and the Heather Inn (Heidekrug). However, from that point, the route looked different in the past. There were neither roads nor bridges at that time because, unlike today, the roads led through different flat areas to bypass rivers and streams.

The stagecoach itself was nothing like an American one from western movies. It was a heavy and solid wagon with a timber post box. The back of the wagon was occupied with the food for horses and with bags of grain and chaff. The driver used to sit on a long bench in the forward part of the carriage, and the whole vehicle was covered by a timber shed to protect it against the sun, rain or strong winds. It was drawn by large and hardy horses, but moved slowly, usually only two or three km per hour.

Inns and taverns where travelers could stay overnight were not only in villages and towns but also at any road tracks and for any kind of traveling guests. They were generally run by Jews – as they tended to manifest natural predispositions to do business – or leased by anyone from the local landowner. The role of an innkeeper was to serve guests, but it is common knowledge that local farmers and farmhands used to come by for a drink (frequently spending all their hard-earned money), or to hear world news brought by the postmaster. Thus, an innkeeper was a sort of ‘bank of information’ for guests, who then spread the news further. He

was also a small trader, doing business with guests. Postmasters stayed there only for a while in the case of rain or storms, or simply to have a rest and take care of their horses. For a night they stayed in postal houses or in towns. It was very dangerous for them to travel at night, even though it was clear that attacking a postmaster was committing sacrilege. There were always people who had no respect for the law.

The tracks ran in forests only when it was impossible to omit them. Normally people usually traveled open-spaced field roads across villages. They were not necessarily shorter but certainly broader which enabled people to notice bandits in time or any danger. There were also fewer natural obstacles, such as broken branches or fallen trees.

I hope my description has shed some light at how the postal track might have been run in our region. Fortunately, for someone with the expertise, it is not difficult to reconstruct old roads and ancient tracks. Roads were not marked by stones in the past but it was trees growing nearby those tracks which were used not only as shelters and rest stops during long journeys but primarily as landmarks. The trees died only due to old age or if damaged in bad weather.

In my opinion, a typical route for a stagecoach was from Oskowo to the memorial stone I already mentioned, and further to Heidekrug. Then, it must have travelled across the present-day military airport, through the fields of Zewitzer Boor to Cewice. Before the airport was constructed, there had only been moorlands and a couple of farms, but no forest. Zewitzer Boor and Labuhner Boor were the two farms with adjacent barns where hay was gathered from the local fields (Wiesen unter Linden) lying

along the River Bukowina. There are still visible traces of these farms on the southern side of the airport fence. Near the old airport radar tower, one can see parts of an old road and an ancient roadside tree. Supposedly, it was the way the famous stagecoach was travelling to Cewice. In Cewice, it might have stayed for while in the inn called 'Empty Jar', which existed exactly where the present-day pub is in the center of the village. Then, the stagecoach might have headed eastwards passing by the Manor, traveling around the park and the pond, and after that it must have taken the track through the fields, then through the woods, and probably reached the crossroads where, until recently, a barn belonging to Osowo stood. But it was robbed of wooden planks, and the only thing that remains to this day is that crossroads. Somewhere 200 meters north from that location, there was a wooden tower on the hill seen by those who were going from Cewice to Łębork. It was a triangular point on these lands. From the crossroads one could go straight to Osowo by entering the village from the fields. The remains of this road still exist in the gorge near the Park of Osowo. A stagecoach never used to enter Osowo, but would turn right at the crossroads and take the old road running to Łebunia. Part of this road still existed in the 1980s. The older villagers probably remember it, as they used to call it 'The Road at Three Lime Trees' or 'The Road at a Burnt Lime Tree'. In order to reach the inn in Łebunia, a postman must have travelled off the route, going round the Grela's manor buildings and then taking the road leading through the village to an inn. It is not certain whether the stagecoach went to Łebunia, but if it didn't, it must have turned right and gone to Bukowina.

When the Brandenburg elector changed the postal route, it remained the same up to the crossroads before Osowo, and only after that point the route changed. A stagecoach did not turn to Łebunia but instead took the opposite direction to Maszewo. It crossed the present-day road of Bytów, went downwards on a short section of woodlands, and finally appeared in the estates of Maszewo, near to where now exists a railway station. Another 400 meters further, the stagecoach would arrive at Kathenkrug. The distance between Maszewo and the inn was small, one could reach it by taking the road between the woods and the field. From Maszewo, the route ran north by the road at a place that was called 'Field on the Rock' ('Pole na Kamieniu'), near a huge rock called Devil's Rock (Diabli Kamień). From that point it was close to the Inn Mallschutzerkrug located right before the village Małoszyce and to the village itself, as well as to Lębork.

Between 1970 and 1972 I used to work in Osowo and had an opportunity to go across those lands by buckboard – a two-wheeled vehicle drawn by one horse. These large areas were cut by field paths into smaller ones, several dozen hectares pieces of land (The large areas of land were marked off by field paths into smaller sections of several dozen hectares each). Until recently it had been a typical form of division for rural areas, which had been shaped for hundreds of years and cultivated by various changing farmers. The development within the field work, mechanization of farming, expensive cultivating, and seed machines forced people to enlarge fields and eliminate natural obstacles, such as trees, marshes, stones or old roads. An example of such changes are the fields in Osowo which have been radically transformed by new landowners into one large field.

So, I was travelling by a two-wheeled buckboard. Somewhere near a field barn I decided to reach Cewice by taking shortcuts. Now I was going by some field road (the asphalt road would have been hard on a shod horse). At the crossroads, I came upon an old road, which was narrow and overgrown, but passable. It must have been rarely used, an occasional tractor might have been driven that way, I suppose. I was approaching the forest slowly with growing fears that this would be the end of the track. However, from several dozen meters away, I could see that the road continued and widened farther into the forest. As I approached the forest, two old poles caught my attention. They were about three meters high and were spaced about one meter apart. A large moss-covered stone was lying at the base of each pole. All these elements seemed to form a symmetric composition, though they did not match the scenery at all, which intrigued me very much. I stopped, tied the horse to a tree and approached the odd structure. Then I noticed something which resembled a timber board. After a while it became clear to me that the board must have been attached to these poles. Although it was battered and almost black due to its age on one side, the other side was in much better condition, revealing traces of some inscription. It was possible to read preserved parts of sentences and when I later learnt about the incident with the stagecoach all these elements became parts of one whole. I can still remember single words such as “Lewi”, “stein”, “ermordet”, “Sellon...”. The inscription was quite long and a few words were impossible for me to read. Presumably, the board must have been related to the story of a murder, however there were some differences in spelling, for instance, the words: “Lewi” instead

of Levin, “Sellon...” instead of Salon, etc. As far as the stone is concerned, after clearing away the moss there emerged a carved cross on its surface. I’m deeply convinced that it was the real place of the crime. The board, however, couldn’t be the one originally made in 1782 since no timber could survive two hundred years in the humid climate of those forests. It must have been a board made later to replace the old one. Besides, the inscription on the board was in the Latin variety which was used much later. Up to the 18th century, all documents, and especially inscriptions on memorial boards, used a different form of Latin. I suppose, the first board recounting the event must have been written with gothic letters. The most popular were the so-called Schwabacher, which was a specific blackletter typeface, or ‘Fraktur’, another German typeface. I have recently visited that place a second time. Unfortunately, I had difficulty finding that spot again since the scenery has changed substantially. The roads have been flattened and cultivated, there appeared young trees among the old ones in the forest. I abandoned the intention of finding the poles and the board, but I still hoped they had survived somehow.

I was looking for the rock since stones remain untouched by the flow of time. As I was walking from one place to another watching for any signs of the rock, I was surprised to notice that there were holes in the ground, the traces of rocks that were once there. Someone must have taken them away with the aid of excavator. Probably to be sold or to be used for construction. Just as I was being overcome by discouragement, I suddenly found it. It was hidden under brushwood. The same big rock with the cross. There was no trace of the board and the poles.

It seems that the stagecoach used to leave the villages of Cewice heading upwards along the forest on a sandy road to the Devil's Rock and then Małoszyce. A small village and the mill by the river could be seen from the top of the hill. As I thought, the stagecoach had never gone through Osowo (Wussow). There was no sense entering that village. By the way, Osowo was, at that time, more of a manor rather than a settlement, and there was only one gate and one road leading to it – the one from the crossroads near Cewice. One could reach Łebunia, from Osowo but the road was really narrow and it led through forests, steep hills and marshes.

Then, in the late 19th century, the construction of the road from Sierakowice to Cewice was started, which, along the section from Sierakowice to Puzdrowo is now built exactly in accordance to the old project. It was landowners from Łebunia and Osowo who contributed largely to its realization. They made a great effort to connect Puzdrowo, Bukowina, Łebunia, Osowo with the road running from Bytów to Lębork. It is alleged that after completion of the construction, the workers, high officials of Lębork, as well as sponsors from Łebunia and Osowo met at these roads to celebrate their common success. Somewhere by the new house of a linesman people prepared tables for the guests under a large oak. We cannot underestimate the importance of what was accomplished. First of all, the new connection enabled Osowo to be included in the construction of the railway joining Lębork with Bytów, it contributed to the opening of a power plant on the River Okalica, and finally, provided transportation of agricultural products – including fruits – from Łebunia to Maszewo, and supposedly from Osowo to Maszewo. The joy

over completing such a meaningful work must have been great, as the celebration ended in breaking glass against the oak's trunk. It is worth noting that glass at those times was extremely expensive and a rare product. Hence, the news about the event spread fast and started a tradition. Newlyweds would have the wedding parade go to the old oak at the crossroads in order to smash luxurious glasses for luck. Traces of that practice were found in the ground after cutting the oak down in 2008. While leveling the ground a number of broken glass, ceramic goblets, mugs and jars were uncovered. Workers who did not know the history thought they had discovered some glass waste landfill.

The construction of a new road boosted the development of the estates in Osowo. Buildings were constructed according to new technologies, they were old but solid. A sewage and water supply system appeared. The outer and inner roads were paved with stones. The family of von Stülpnagel, who owned the properties in Osowo, were good landowners, while some of them took care of their lands, others served in the army – some taking the highest positions. One of them, Carlo von Stülpnagel, was appointed the military governor of France by Adolf Hitler after the German invasion. Hitler found him to be a zealous executor of his orders and visions. General von Stülpnagel personally monitored the deportation of over twenty-five thousand Jews to the concentration and death camps. After the defeat in the battle of Stalingrad it became clear that Germany could not win the war. For many, the primary goal became to save their own skin. Von Stülpnagel attached himself to secret conspiracy groups aiming at Hitler's assassination. The conspirators tried to seek an

agreement with the British Prime Minister Winston Churchill about the future of Germany in the event of Hitler's death. The role of the general was to arrest all Germans stationed in France if the assassination was successful. Indeed, in 1944, there was an attempt to assassinate Hitler by Colonel von Stauffenberg, who planted a bomb in Wilczy Szaniec near Kętrzyn. At the safe headquarters he put a suitcase with a bomb and fuze under Hitler's desk when Hitler was in a meeting. Although it exploded, Hitler survived, protected by a thick furniture top. Hitler suffered only light injuries. However, the information about the explosion arrived at Paris, and von Stülpnagel acting in accordance with the plan, took action. He captured about five thousand ss members in 24 hours. The next day when it came out that Hitler was alive, hunting for the assassins started. The ss members were released while von Stülpnagel, together with others, were shot dead without a chance to commit suicide.

After the Grela family period, Maszewo changed its owners often-times. However, until 1905 there were no major consequences of those shifts in ownership. Only after the year Robert Sinner of Karlsruhe, the Trade Counselor, bought Maszewo, Cewice and Łebunia, did new facilities begin to emerge in the region and they eventually changed the the villages. The Counselor managed a huge trading and manufacturing company inherited by his father. He contributed to its rapid development, and right there in Maszewo, he decided to build a factory of compressed yeast which he then delivered to the East Pomerania Region and to Prussia. Soon he also constructed a wine and liqueur factory, and he proceeded to setting up gardens with heated greenhouses. In the vicinity

of the newly built distillery a huge barn was constructed where cattle was fed with by-products from the alcohol production. Sinner's factories in Maszewo hired more or less 160 people, and the majority of them lived in Maszewo or in adjacent villages. Those who were from other parts of Poland had to cross 'the green border' in order to get to work.

The construction of factories led to a significant development of the village. There emerged, for instance, a housing development for the workforce to live (the present-day Drowniana Street) and for the management (the present-day Murowana Street). Buildings which were located nearby the forest were designated for less-qualified workers. Residential buildings were heated by burnt peat or timber, while factories were coal-fired. To provide coal from railways straight to the factory's boilerhouse they created a cableway with suspended wagons running from the railway station to the Sinner's estates.

Robert Sinner seemingly was inspired by manifold solutions which had already been present in Grunwinkiel. So he had streets and areas paved, and he commissioned the building of a school and a canteen. The village store was also always well-provided. Besides ordinary goods available in neighboring shops, here one could get items previously unknown for local people – canned food or processed fruit-and-vegetable products. The latter ones were initially imported from Grunwinkiel by Sinner, but later he decided to make fruit and vegetable processing on the basis of local crops, in particular those from Maszewo. It is worth mentioning that the factories in Maszewo survived the Great Crisis of 1930s only due to its poorly industrialized market in Pomerania. While

across Europe and in America factories were closed, no worker became unemployed in Maszewo at that time. Even commuters and buyers who illegally crossed the border between Łebunia and Okalice still carried their shopping bags with goods purchased in the store of Maszewo. The villagers were fortunately not affected by the consequences of the crisis.

Maszewo, Cewice and Łebunia had always shared a common history before Sinner's coming, and when he governed their region nothing much changed in that regard. The Company's Director General in Karlsruhe, Robert Sinner, had already built the mentioned compressed yeast factory and the factory where canned food and marmalade were produced, and he personally oversaw all these properties with the help of appointed managers. The estates of Łebunia, in turn, were leased to his son-in-law, a Reserve Officer and a Captain, Gustavow von Rotteck, while the Manor in Cewice was given to Sinner's son Rudolf. Rudolf was involved in managing the small farm he got from his father up to the 1920s, when he bought extensive areas of land and forests between Cewice and Siemirowice. Still his main job was to watch his father's business as he believed he was destined to become his successor. Therefore, he travelled a lot between Karlsruhe, Grunwinkiel and Maszewo in order to learn all the secrets of his father's job and to become a worthy heir. Nevertheless, it was his older brother Robert who was to inherit their father's company. Robert was the first-born son, and he was 6 years older than Rudolf, so it was him who from the very beginning accompanied old Sinner to buy lands in Maszewo. These areas, although with poor soil, were perfect in terms of location. These were beautiful wild lands,

there was a large local workforce, a newly built railway connecting the Lębork town with Bytów and Berlin, and the new, paved road running from Lębork to Bytów which constituted an important line connecting all roads and giving access to the European road network. We can imagine two Roberts, the father and the son, standing in front of the manor in Maszewo and together planning the construction of the distillery or the compressed yeast factory. They were probably planning how to use cold water running from the fields in the best possible way so that they could be used to cool the alembic in the distillery and its seed-yeast tank. Together they were choosing the place for storage of cereal yeast and for other materials used for production of canned food. They made decisions about constructing a new barn since the old one had burned down. It had to be large enough to contain all the cattle, and the barn had to be close enough to make the costs of transport low. At the back of the barn they planned the construction of storage for grass-silage and mill by-products. They also planned the construction of three huge vertical silos with modern lifts which were supposed to provide food for 200 animals, while a suspended cable car would make it possible to deliver food to troughs without human help. Another cable car (also suspended) was to remove the slurry.

One may think that the Sinners were obsessed at cable cars: a cable car for food, a cable car for slurry, a cable car for transporting coal from the railway station to the boiler house, etc. Indeed, there was much of this, however everything worked perfectly well due to the proper implementation of the technology, and only after fifty years did the cable car

used for transporting coal begin to show signs of age, but the other ones never broke down and were in good condition up to the 1990s.

Definitely, their designs were ahead of their time since cable car systems only entered the Polish industry in the 1970s. Rober Sinner, the father, was an extremely talented person and a well-educated lawyer. Before he got involved in the family business in Karlsruhe in 1883 after his father George's sudden death, he had spent years observing the workings of the company. Then he established new factories. Beginning in Grunwinkel in 1885, he built the distillery, compressed yeast production, and canned food factory. The factory was located near an old wine production plant set up by his grandfather Anton Sinner. Then he expanded further, reaching Baden and Switzerland, and finally Gross Massow (Maszewo). The young Robert got married in 1812 to Dora Wilhelmina Bilfinger. Then in 1914, WWI broke out in Europe and as a Lieutenant he left home to fight in the war. He was killed in Gricourt in France. After his death Rudolf took over his position. In 1916 he married the widow Dora Wilhelmina and in 1920 his father retired, so he assumed management of the business. In 1932 Robert Sinner died as well. Rudolf, in turn, engaged in National Socialism. Although his connections with the Nazis are not clear, it was commonly known that SS officers were regular guests of his house in Cewice during the war. There was a casino for the officers, and it was in the cellar of his house where a Polish priest, the Reverend Roszczyński from Wejherowo was imprisoned before he was eventually killed at the Cewice Park near the manor. Before the war broke out and after taking over the business Rudolf Sinner focused

his energies on farming. Gardening, in particular, captured his attention. He constructed heated greenhouses in Maszewo, where he cultivated cucumbers and tomatoes, while in winter he grew flowers, which were purchased willingly by traders from Lębork and by florists from Słupsk. Even in the poor soil of the fields he managed to cultivate very hardy varieties of vegetables and berries which were later processed into fruit jams. After 1925 there were fruit and vegetable preserves produced as well. Fruits were taken from his own orchard in Maszewo and from the orchard belonging to his sister and her husband Luisa and Gustav von Rotteck of Łebunia.

Robert Sinner bought the estates in Łebunia for his daughter Louisa in February 1905, but initially he made it the ownership of the newly created company in Maszewo. He built the distillery to supply spirits to the liquor production in Maszewo. The distillery decoction were delivered then by a pipeline to a big barn where they were used as a backstock in winter.

Louisa got married to the 39 year old Reserve Officer and Captain, Gustav von Rotteck who took control over the farm. He came from Baden-Baden and belonged to a very honorable family, respected for their contributions in science. He was a very gentle and modest man. His passion was horse riding and hunting. He could practice his hobbies as he owned 1451 hectares of land, including 823 hectares of forest areas. His favorite place to hunt was the fields in Siemirowice called Wiesen bei Linden. It was there where the best deer could be observed, though his finest trophy he got nearby Maszewo in 1917. The records mention: "Mr. von Rotteck – Labuhn has shot his 24th deer which had

antlers weighing 18,5 pounds”. His record was finally broken by someone else only in 1939 while hunting in Gotendorf. He died in 1935, as a sick person, and being worried about the events after the attempted assassination of Hitler in 1933. His family disagreed on politics, but he overtly opposed National Socialism. He was buried in his own field, nearby the manor, 150 meters south of the park. For that purpose there was a small mound formed where his remains were laid to rest. At his request he was buried in his casual clothes which he dressed for work every day, and without any valuables. After some years his son Fridrich Karl said about his father: “He lived modesty, died modestly and his death was premature”. On a unassuming, rectangular tombstone there are the words: ”Gustav Fridrich Karl von Rotteck, aus Baden Baden, 1871–1935”. There was also a timber cross, a few meters high, and stone steps leading up to it, constructed of carved beams that were several meters wide. They were divided into four levels, each of them contained five steps. The top of the hill was planted with spruces, while at the foot of it, oaks formed a ring.

After her husband’s death Louisa von Rotteck was running the farm alone, with some help from her son, Fridrich Karl. However, she had never made him an owner although he was a legal successor. This was probably due to his lenient attitude towards workers, inherited from his father. As a result, Fridrich was sent to the front lines, but he never made a military career, as he opposed National Socialism just as his father did. Farming was also not his cup of tea, though he certainly had enough experience. Instead, he was fond of hunting, horse riding and... women.

His mother managed the estates well. She had no problems with managing her employees. She had no issues with the Polish workers. However, she did have some trouble with young men sent to do forced labour who tended to be lazy, and who would fall asleep or simply disappear from their work site. These boys had usually their families – parents and girlfriends living in the nearby villages, such as Pałubice, Liniewo, Skrzyszewo or Kowale. In such cases Ms Louisa used to turn to the Gestapo for help, who would apply some force to put everything back in order. Their intervention always involved a few-day process of curing wounds and bruises as these boys were usually severely beaten. The Gestapo knew how to ‘convince’ a man to do anything. Therefore, men went back to work ‘willingly’ and quickly.

But working in the estates of Łebunia did not necessarily mean being beaten with a whip or threatened by the German police. For many years it was a family tradition to care for workers. The old Robert Sinner instilled in his children (including Ms von Rotteck) how to respect people. Therefore, people never lacked food, housing conditions were also decent, even for captives, while some people, especially girls from Skrzyszewo, were allowed to return home by bike every day. In turn, they were expected to show absolute commitment and work hard.

Mother Louisa ensured that her son Fridrich Karl was surrounded by appropriate company, particularly when it came to females. When he once got involved in a relationship with a German girl from a lower social class, his mother did her best to find the woman another fiancé, and then offered them a house and land so that they could be satisfied. However,

with the advent of 1945 those times were over forever. The arriving Red Army forced local people to escape westwards, often pulling their carts with their possessions on foot. Ms von Rotteck, with her son Rudolf Sinner and his wife Dora and children went to Grunwinkel near Karlsruhe. They were going by train with their furniture, art, china, and dinnerware, which they wanted to prevent from falling into the hands of the Russians. It was one of the last trains which managed to travel the Osowo-Bytów route. Soon the rails from the station Cewice up to Bytów were dismantled and transported east. The track demolition (never reconstructed again) has a symbolic meaning. It seems to have ended the times of the Sinners in the areas of Cewice. They had significantly changed the scenery and character of the village Maszewo. Especially Robert Sinner thanks to his organizational skills and hard work transformed this stark feudal settlement into a huge industrial centre, and started the development of residential estates. He contributed to the construction of the distilleries in adjacent lands, and managed to gain the cooperation of landowners. The compressed yeast produced in Maszewo finally dominated the market of Pomeranian and Masuria. Operating dynamically, the company gave jobs to a number of people. It was a tradition in Maszewo one's position at work could be inherited by the children, who would take over their fathers' job. There was always a lot of work for people, especially since the construction business was developing fast due to the village expansion. Definitely the 1930s crisis never affected the Sinners' company.

The Sinners had much larger estates in their hometown Grunwinkel than here in Maszewo. A number of breakthrough solutions in terms

of the town's amenities could be observed there. The Sinners company contributed to the foundation of a museum, school and the tow bridge. They funded the transferring of an old, historic church as its location interfered with the reconstruction of the main street in Grunwinkel. Sinner's company operated in Grunwinkel for over 140 years. As a result of the ineffective management of his grandsons, it finally ceased to exist in 1975 after it was acquired by a larger company. The townspeople have never forgotten Sinner, and in 2011 the largest square in Grunwinkel was named after Robert Sinner – 'Robert-Sinner-Platz'.

Across the centuries no man has done so much for any of the villages in our region as he did for Maszewo. Whole generations of people, whose descendants are still alive today, benefited from all the advantages arising from Sinner's talents, skills, and commitment.

In early spring of 1945, the last owner of the Maszewo estates – Robert Sinner together with his family were packing their things into wooden boxes which were then sent to the railway stations in Osowo and Cewice from which they tried to escape from the Red Army. They were running out of time, especially since German propaganda was still spreading false information about the successes of German forces, and any signs of disbelief were treated as treason against the German State. However, since news about the German Army retreating from all fronts was reaching villages, people were secretly preparing for escape. In their barns, where nobody could see them, they were collecting food supplies, gathering their most important possessions such as bedclothes and valuables. And they readied their carriages so that they were comfortable for children

during the journey. They had to leave certain things, such as furniture and animals. They usually killed the swine while abandoning the cattle, leaving as much food for them as was possible. They hoped to come back soon. Only a few of them managed to escape by car. But even they risked having it seized by the Army while traveling. A common practice of the Army was to take away petrol from travelers. But going by train was also a problem as it was mainly reserved for Army use. Therefore, as soon as the news about German failures arrived, villagers almost immediately set off for Germany. The roads were crowded with carts, two-wheeled vehicles and farmers' wagons pulled by horses. The wagons were usually covered with hay, or with straw mattresses, while the wooden frames were covered with canopies, blankets or various mats. Adapted for a long-distance journey, they looked like Gypsy wagons travelling west. Children usually sat in the wagons, while adults walked beside it. Sometimes travelers pushed the carts to relieve horses which frequently got stuck in the spring mud. Often people doubted their decision to go west, regretting what they had left, especially the abandoned animals. After the Second World War, Emperor Franz Joseph abdicated, armies dispersed, those who were still alive returned home, the living constructed memorials for those who sacrificed their lives protecting their homeland, and everything went back to normal.

The farther they got from their homes, they became sure they had made the right decision to emigrate. The news about thousands of people fleeing their lands was coming in from all sides. People were travelling on foot, by car, on carts and by any possible vehicle. They were escaping

from every region. For instance, those who were running from Królewiec tried to cross the frozen Vistula Spit in order to get to the port in Gdynia. While travelling they heard more and more information about bombings and the news about people who drowned in a cold river and in the mud since bombings caused a sudden break of the ice while they were crossing the Vistula Spit. There were many who decided to escape by sea. There was a hospital ship– “Wilhelm Gustloff”, which was sunk by a Russian submarine near Ustka. Out of six thousand passengers, only a handful of people survived. Those who had not been let onto the boat (to avoid overloading) blessed God. People were increasingly worried that they could share the same fate as those who tried to escape west from Słupsk. A large group of refugees from East Prussia (especially from Morąg and Olsztyn) was stopped after a three-week journey and sent back home. When they returned, their estates had already been seized by Polish refugees or by resettled people from the East.

Meanwhile in the abandoned villages of Gmina Cewice, a new political environment was forming. The office of Starost (head of district) was introduced in Lębork. The People’s Militia was established by a newly appointed Polish director. These were armed groups made up of just arrived or local Poles and prisoners from Stutthof. They were supposed to protect local people, both Germans who did not manage to escape and new settlers. The organization was particularly concerned with protecting abandoned estates against thieves who would plunder them, stealing agricultural machinery, treadmills, bicycles, furniture and everything that was in high demand in Central Poland. They were usually shot on

sight by the Militia. However, the hardest task was to protect these lands against the Red Army. The Russians often plundered houses, stealing valuables, looking for alcohol and raping women. They ignored the Polish Militia, hence there were instances of armed violence. Russians treated these areas as their conquered lands, local people of German origin as 'Fascists', while Poles as the bourgeoisie – a social class that needed to be suppressed according to Russian propaganda.

Chapter II

Portraits of our village folk

Abandoned villages in border areas were usually seized by new settlers almost immediately after Poland became occupied. These were mainly poor families from Zakrzewo, Linia, Łyśniewo, and from Pałubice which took over households in Popowo, Bukowina, Pieski and Siemirowice. There happened to be a few households in which the German owners decided to stay, but over time they were forced to leave. A common practice was that newcomers moved into German estates and waited for the owners to leave, making their life as miserable as they possibly could.

Large land properties together with the surrounding facilities and manorial farms were taken over by the Management of State Estates, and under the direction of the so-called 'Zespół' from Lębork, state-owned farms began to be established. In this way, the villages Okalice, Łebunia, Osowo, Oskowo, Krępkowice and Unieszyno with Unieszynko were transformed into state-owned agricultural holdings. The estate in Maszewo remained under the control of one manager and together with the compressed yeast factory, the estate in Maszewo was controlled separately with the compressed yeast factory.

The railway stations at Lębork, Cewice and Maszewo were at that time overrun with people arriving by trains from the East, also forced to leave their homes and farms. If they somehow managed to survive the travel, they came only with a few belongings, and sometimes with animals. Several families were accommodated in one house, and after some time they were separated and transferred to different housing, usually former German estates. Their first days after arriving were extremely difficult for them. They lived on temporary farms. In order to survive they were expected to cultivate the parcels allocated to them. But they had no tools, no agricultural machinery, and no seeds. There was nothing. The case of the displaced people from Korczmin of Tomaszów Lubelski District was a typical one. In 1947 they were settled in Krępkowice and Krawica which was called at that time 'Wzniesienie' (the hill) after German 'Gerhardshöhe'. The arrivals were quickly relocated in grange buildings and small land parcels lying within the estate of Count den Osten were given to them as a tenancy. Those who lived on the hill ('Wzniesienie') were then employed by several families on large German farms. Among the abandoned estates there were those previously belonging to Richard Venzke – 65 ha, Gustav Manske – 39 ha, Kurt Zastrow – 38 ha, Ewald Schimanke – 47 ha, and a few smaller households which were more or less 20-hectacer farms. Most of them had already been plundered. There was no agricultural machinery and horses were needed. In the case of those families, help arrived from local neighbor Karl Alff from Vorposten (the present-day Krępkowo). He had been a landowner on 60 hecatres of land that had been handed down from father to son for generations. Alff

helped newcomers sow and cultivate their lands. The farm machinery he used was so advanced that even those who had possessed successful farms in Korczmin had never seen it before. Life in the rural community was based on cooperation and mutual help. Such a situation lasted however only until 1950 when the authorities forced them to leave the estates in Krępkowice, establishing state-owned farms there being subject to one major state-owned holding in Łebunia. Once again the families from Korczmin had to live together, this time in the village of Cewice. They were allocated households previously owned by Germans, already seized and then abandoned by Poles who were looking for a different place to live. Most of these farms had been plundered. In addition, while deploying people onto these lands, the authorities were reluctant to give them access to the forests which legally were part of the estates. It happened frequently that forest areas were not included in the land tenure acts. Due to people's opposition the authorities promised to give those areas to settlers, however, this never happened. After some time new acts were formed on the basis of new measurements which completely excluded farmers from having any property rights over forests, which became state owned.

The relocation of people from Krępkowice to Cewice went without any problems. New authorities encouraged settlers to move out by reimbursing their travel costs and allowing farmers to choose the land. From the available historical documents we assume that initially settlers had more opportunities, and seemingly were granted selected lands and households according to their requests. The following request letter exemplifies a commonly applied procedure:

J... A....

Cewice 29 September 1950

Krępkowice

Gm. Cewice pov. Lębork

(Commune of Cewice in the Lębork district)

To the Executive Office of Lębork County Council

Through local Council in Cewice

Request

I, the undersigned J... A..., request the Commission to grant me a farm lying within Cewice region used previously by Jan Adamek, covering 15-hectares, in exchange for the former land in Krępkowice which was taken away from me under new regulations in favor of state-owned agricultural holding (PGR) from Łebunia. The reason I request this is that I am a farmer and the area would be the most appropriate for me in terms of my profession.

J... A...

After no more than twenty days the farmer was notified that his request was approved, and in ten days he was to take over the area legally:

28 October 1950

Cewice

The Board of the local Council in Cewice

The Protocol

on the transfer of rights over the farm land in reference to Adamek Jan relinquishing his rights of use over land.

The Board of the local Council in Cewice acting on the basis of the decision made by the Board of Poviast Council in Lębork in the Directive dated 18 October 1950, the land No represented by the person of XX. PGRN received from Adamek Jan the farm land in the presence of K... A... – the region administrator, as well as, O... M..., in its present condition specified as follows:

I. Land

Total area: 13,49 hectares, including 12 hectares of arable land, sown to rye on 3,5 hectares

Buildings and facilities

II. Current state:

The house – average

The barn – average

Pigsty and cowshed – poor

Livestock and stores

III. Current state:

Seed drill – average

Grain mill – average

Plough – poor

3 shovel plough and 1 colter – poor

Straw Cutter – average

300 kg scale – average

The chest of Swedish turnip? – poor
Seed drill – poor
Farm sled – poor
1 dead horse
Notes, etc.

Signatures

On 6 December the farmer provided the confirmation of his moving into Cewice:

Statement

This is to certify that J... A... resident in Krępiechowce, Gm. Cewice took over the farmland in Cewice, covering 13,49 hectares, including 12 hectares of arable land and 1,49 hectare of forest area, which means he took over 6 hectares of cropland and 6 hectares of un-farmed land. Accordingly, the abovementioned J... A... has already moved in onto the household taken from Jan Adamek.

6 December 1950
Cewice
The village administrator
Gmina Cewice

A totally different fate awaited a settler, named Z. who left his home village in Hrubieszów, in Lubelskie voivodship in 1951. According to the description of his property presented in historical records, he left a residential house roofed with slate, a barn and a cowshed covered with straw, a concrete well and a brick-built cellar. Additionally, there were over 5 hectares of land and orchards. All this was listed and verified by a Representative of the Government arranging the resettlement.

As far as movable property, they brought 3 horses, 4 head of cattle and 1 pig, and 40 poultry, which was a lot compared with other relocated people. Z. and his wife also brought some furniture: 2 beds, a sofa, a table, chairs, benches, cupboard and 5 chests, and some tools: a cart, harrows, a plough, and a cultivator. As far as food supplies, they had 75 quintals of cereal, 10 quintals of root crops, and 100 quintals of hay and straw. With all these belongings he settled on 8,5 hectares of land in Łebunia in June 1951. In the farms buildings he found: a motorbike, a cutter, a digger, a shovel plough, a pump, a grain mill and a two-furrow plough. All buildings were solid and with good slate roofs, while the residential house was large and convenient.

There is no historical evidence for a reason that could explain why Z. was arrested. He was imprisoned for a long time. His wife once wrote a request in 1952 to release him:

7 December 1952

Łebunia

Request of Z.. I... – the wife of
the arrested Z... Z..., a resident of Łebunia, gm. Cewice
pov. Łębork (Commune of Cewice in the Łębork district)
To the Executive Office of Łębork County Council

I am asking You to request the People's Authorities to release my husband Z... Z..., who was arrested. What should I do with the farmland? I have a crippled arm, I am alone and I can neither work nor look after the animals. As evidence I submit a medical certificate confirming my health condition.

Since I am not able to run the farm I am asking you to release my husband at least to manage the household, otherwise I am about to leave the land to move to my sister in Central Poland.

Z... I...

He was kept in prison for some time. His debts were growing. The farmland was looked after by two tenants.

At last, documents arrived from his previous residence which proved that he was a war veteran. This implied that he was exempted from paying some taxes, and as a government mandated re-settler he didn't have to pay off the land he was granted. But more important fact was that he

had been resettled because of the exchange of land sections adjacent to border areas between Polish Republic and USSR.

However, payment requests were still arriving. The debt was increasing. Finally, the man decided to write a letter:

18 December 1959

Łebunia

Z... Z...

Łebunia, pov. Łęborg

The Executive Office of Łęborg County Council

The Agricultural Department in Łęborg

In 1951 I was resettled from the village of Z... in Powiat Hrubieszów because of USSR seizure over those lands. I left there 5,18 hectares of land and household buildings. Therefore, I got the farm in Łebunia as compensation for the lost ownership. Although, I have been exempted from paying P.F.Z. tax I am still getting orders for payment all the time. I am asking You to regulate that issue so that no enforcement procedure will be started.

Besides, I am a part of the military resettlement program.

Z... Z...

On the 9th of July 1960, Z.Z. received a document from the Board of Powiat Council refusing to recognize him a military settler, thus also

to suspend his payments, on the grounds that he settled in the western territories of Poland in 1951 while he should have settled in 1948. In addition, the Board claimed that he was obliged to pay for the household as it was not his ownership but only a tenancy.

But Z. could not have moved to Łebunia in 1948 as he was forced to leave his estate only in 1951 as a result of territory exchange between Poland and USSR.

In 1958, his young wife died, leaving him alone with three children, no money and huge debts. On May 30th 1965 after a long battle, Z. finally got from the Management of Gdansk a verification of his documents attesting that he was a member of ZBOWID (The Society of Fighters for Freedom and Democracy). Local authorities eventually cancelled his debts to the State.

The debts to the State were cancelled, but those to the neighbors, especially the tenants, were not subject to any redemption. He lost his estates due to legal actions against him. Being condemned to rent a flat (if he wanted) to stay, he wandered around from place to place. It did not help to write requests to the Prime Minister Józef Cyrankiewicz. There was no response.

Vincenty and Danuta Boruc married in 1886 in the local church in Wiązownica, near Jarosław in the lands of Galicia. It was the same church in which they were baptized as children, and in which their children – Janek, Jadwiga, Mateusz and Hanna were baptized as well. They had a large piece of fertile land stretching between the village and the bend of the San river. They were quite wealthy people, deemed by others a

respectable and quite religious family. Their children were raised in true godliness and respect and honor for Franz Joseph I – Emperor of Austria and Hungary. These were not calm times, but at that time it was mainly the Emperor and other political or wealthy people who had to deal with the situation rather than ordinary people. In Wiązownica, people were concerned mainly with crops, the water level in the River San, quarrelling with the hired Ruthenians who helped with maize harvest, or with the Jewish traders who tended to cheat. Wincenty and Renata lived peacefully. They didn't have to worry about who was going to take over their household since they had two hard-working sons. In accordance with the tradition, the oldest son was to inherit the estate. Therefore, they were absolutely sure that Janek – their elder son, was to stay with them no matter what would happen. Nevertheless, life can be very uncertain and things happen unexpectedly. At the age of 18 Janek decided to become a priest. However, the Boruc were proud that their son would be a clergyman. Having a priest in the family gave them the right to sit in the first row in the church. And anyway, there was another son.

Meanwhile, the political situation in Europe started to become complicated. The Emperor decided on military mobilization, and the younger son – twenty-one year old Mateusz – was suddenly recruited into the Austrian Army, where people looked down on those who were of Polish, Jewish and Czech origin. Both Austrian and Hungarian officers took every opportunity to display their superiority. However, Mateusz was a handsome boy who spoke several languages and people liked him very much. Therefore, he quite enjoyed being in the Army, and thought

about entering the Officers School in the future. Unfortunately, after the assassination in Sarajevo in 1914, followed by the outbreak of the great war, an unfortunate accident halted all plans for the future when Mateusz was rendered deaf by a bomb explosion.

When he returned home many things had changed. His youngest sister had joined the Order, which really was no surprise as everybody had expected that. Janek stayed in the Order while his sister Jadwiga ran the household.

Jadwiga was a very kind and good person. She took care of her brother with great attention. Under her care, he was able to reconcile himself a bit with his disability. Over time, he learned to lip-read, which gave him some independence. However, he wasn't happy staying isolated at home. Although he was not a burden for anybody in the family, he decided to leave and go north. The new situation in post-war Europe, the creation of the Polish state, and general post-war reconstruction made it easier to find a job. He arrived at Chełmno – a beautiful old town on the Vistula River. It was an ideal place to stay for a while, but Mateusz stayed there for good. One Sunday morning, he met Maria Majewska, who lived in a neighboring village. Her parents had a household adjacent to the Vistula Bank. Maria and Mateusz married after six months. Mateusz worked on building sites and helped her parents with farming. Then their children were born, Władzio, Staszek and then Wojciech. It became crowded in the old house, and when it turned out that Maria was going to have another child, they started to look for a larger place to live. And there, a miracle happened. Nobody expected that the Austrian

government would pay a compensation to Mateusz for the lost hearing. The government paid him a large amount of money, which Maria and Mateusz used to buy land with buildings in Starogród (today, is one of Chełmno's districts). Soon after giving birth to their fourth son Tomasz, they moved into their new household. Unfortunately, their happiness did not last long. After four years Maria got ill and suffered from tuberculosis, which was an incurable disease at that time. As if this were not enough, she became pregnant once again. Ten months after giving birth to their daughter Bogusława, Maria died. Mateusz had to take care of five children. The oldest son was seven years old, while the youngest daughter was only ten months. Mateusz couldn't afford to feel sorry for himself. He had heard earlier that a new town near Gdańsk, called Gdynia, was being built and had a port. People spoke about great governmental investments in the infrastructure of that place. One could earn a lot of money there, especially in transport work.

Mateusz came to an agreement with his family about leaving Władek and Wojciech in Wiązownica under the care of his sister Jadwiga. Jadwiga's son and his wife also helped in looking after the boys. They had a good life there. Władek went to school and helped with the household, while Wojtek was always full of new ideas not necessarily connected with his duties of grazing the cattle. He was also very impatient and absent-minded. The cattle grazing was not an easy task. Land parcels were small, only a few-meter wide, and it was extremely hard to guard the animals. Particularly since Wojtek was only seven years old and he often went swimming in the River San during his duties. Such days always

ended in whipping or not being allowed by Aniela (Jadwiga's daughter) to have supper. Fortunately, Aunt Jadwiga made sure Wojtek did not go to bed hungry.

Staszek and the youngest son Tomasz were sent to their uncle Janek in Chojnice – who had been a priest once, and but then left the Order for a woman. He got married and with his wife Janina they ran a restaurant in Chojnice. They both worked hard and the business was prospering. The only thing they wanted was to have children. Unfortunately, their children soon died after birth, eight of them one by one. People gossiped about God's alleged punishments, but later it turned out that blood conflict was to blame.

Janek and Janina adopted the children of Mateusz willingly. Janek always recognized them as family members, while Janina treated them as her workforce. Tomasz had to learn very early how to wash up, and he was so young that he had to stand on the table to reach the sink.

Mateusz's daughter Bogusława was sent to his youngest sister Hania who took the girl to the Congregation of the Sisters of Merciful God in Warsaw, which ran a school for orphans. There, she received a strict and moral upbringing, but also a peaceful childhood and good education.

Mateusz repaired the cart, bought two massive horses, sold the household in Starogród, then said a prayer upon Maria's grave and left for Gdynia broken-hearted.

There was a lot of work in Gdynia. People enjoyed high earnings, especially those with their own means of transport who could work as delivery men. The majority of workers were Kashubians, who commuted

from adjacent villages every day. There were also newcomers, like Mateusz, who found a place to stay in Gdynia. Although lodging was expensive and fees for stables and food for horses were high, it was possible to save money. The work was well-organized. Roads were broad and there was plenty of room which was very important for Mateusz who could hear neither approaching vehicles nor screaming drivers. He had to be focused all day long not to cause an accident.

The first day he promised himself to earn as much as possible in order to buy a new household for his family. He dreamed about having all his children back. This thought accompanied him all the time, and the only comfort he had was that they were with his families. Mateusz rented a small flat in Obłuże. The apartment was very shabby, but it was very cheap and was located in close proximity to his workplace. There was a stable nearby, so he could check on his horses frequently. The horses worked hard as well, from early morning until late at night as Mateusz also took extra work. He was very exhausted, but each passing month he was putting aside more and more money. In his dreams, he saw his new house in Wiązownica and his children living there.

One day he read in a local newspaper about land available for Gdynia workers. The land lay in Obłuże Dolne, between Old Obłuże and Oksywie, and was repurchased from the Tilman family. Workers who were hired at building sites or in the port could buy a parcel of land there. If they could not afford it, there was an opportunity to purchase the land on an installment basis. Mateusz did not hesitate. He saw a great chance for him and for his children. He could work and live there, and the children

could go to the local school. Two days later, he was happy owner of the twelfth parcel. The district was called Obłuże Kolonia. He immediately began construction of his house. Every day after work he returned to his land to continue building. Like him, others on adjacent parcels put their own dreams into practice with great commitment and energy. Sometimes they would gather at Mateusz's plot to share opinions about the political situation. Mateusz was a well-read person, so they wanted to know his views on what was happening. It was his habit to read newspapers, not only „Dziennik Bałtycki” but also „Danziger Zeitung”, so he had extensive knowledge about what was going on. Newspapers wrote about political tensions, the so-called ‘political wrangling’ and spread alarm among the people. However, nobody believed that there would be war, since western states ensured Poland about its safety and their support in case of conflict. Nevertheless, when military craft appeared in the port of Gdynia near the newly built breakwater, fear grew.

By this time, he house had a roof and one room in which Mateusz lived. It was only a few months away from completion. Mateusz bought a table, chairs and two beds with a straw mattress, a chest for clothes and a box for food storage. He planned to send his children to local school in 1939. His daughter Bogusia was about to start at primary school. He also expected his sister Jadwiga to come and help him at the beginning. She had not actually promised to do that, but Mateusz inferred from her letters her good will and true attachment to the boys. She was certainly not indifferent to their fate and couldn't imagine life without them. The only thing that troubled him was whether he would be able to restore

good relations with them after such a long time. He wondered whether they would talk to him, whether they would understand why he had left them, etc.

One day, when Mateusz came back home after work he noticed a few soldiers walking around the square. When he approached the place he saw them hiding anti air-craft guns. He didn't know yet that these guns would be a real curse for the residents of this district.

Jadwiga dissuaded him from taking the children to Gdynia. Bad news about the oncoming war preparations in Gdańsk and in its surrounding areas were reaching people from all sides. So they decided to wait.

On September 1, Mateusz was awakened by the same sort of booms, vibrations and rumblings he had already knew from his past experience in the Austrian Army. He looked out the window and saw flashes of light and smoke in the air hovering over the Westerplatte (a Polish military base). He harnessed his horses and went to work. But there was no work that day. The military sunk several warships in the port entry, and all work was suspended. Every day, Mateusz checked whether work was resumed. But nothing changed for a whole week. On September 8th, German fighter planes appeared, and the anti-aircraft guns hidden in Obłuże were used for the first time. The return fire seemed to deter the enemy. Townspeople in Gdynia admired the success of the action, until the next day when German bombers returned. Mateusz was going to the port as usual to check the situation, when suddenly from the Chylonia side the Junkers from the Base in Dziwnów emerged in the sky. They were targeting the naval port in Oksywie, but the first bombing came upon the

parcels in Obłuże where the anti-aircraft guns were located. Everything covered with smoke there.

Mateusz ran back home. When he came closer, despite the thick smoke he managed to see burning houses. In the place where his house used to stand only the top wall was still there, the roof collapsed, while the side wall of the building had fallen onto the wooden cart. Nearby, the horses were lying, one dead, and the other one died soon after.

Mateusz lost everything in one moment. His dream about having his family together ended as well. Only later did he realize that it could have been God who had saved him and his children. Jadwiga had insisted that children stayed where they were, while he himself left his house about half an hour before the air attack.

Germans began to divide up the population in occupied Gdynia. People were gathered on the square in front of the railway station in order to segregate them. Only people who spoke German could stay. The majority were forced to leave. Mateusz did not reveal that he knew German well. Besides, he was deaf so he would be useless anyway. There was also a risk of being sent to Stutthof (a Nazi concentration camp 36 km from Gdańsk where all disabled people were killed immediately). Mateusz took the clothes chest and the box – the only things that survived the bombing, and went by train to Wiązownica. After the German attack on the Soviet Union the situation in Poland was extremely tense. He got a small room in the complex of monastery and a job as a gardener. As a gardener and a resident he could move freely on the estate. He used the monastery's cart to deliver vegetables to the market. After the war ended, Mateusz

had to stay in the monastery. His oldest son, an AK (Polish home Army) member, didn't surrender his weapons but stayed in the forests where he took part in fighting against the newly established People's Militia by the Communist leadership. So both he and his father were wanted by the new communist government. Nothing really happens by chance.

The ground floor of Lublin castle was full of political prisoners. The arrested were kept in the crowded and dark rooms. Having been recognized as people's enemies they were undernourished and severely affected by hunger and disease. The C vitamin deficiency usually resulted in scurvy. Those who stayed in cellars with barred windows looking out onto the monastery's garden were luckier. A certain man with bright eyes threw vegetables into the cellars every day. He never said a word to them, just gave them food and disappeared. The arrested knew he couldn't see them as it was dark in cellars, but they never figured out that he was deaf.

Wojciech – the son of Mateusz – a few years after the war, when he lived with his wife and two sons in Cewice in Pomerania, once went to Lublin to bring his father to live with him. But he refused to go, not wanting to be a burden for him, especially since Tomasz had just began his studies in medicine thanks to the rector of the Academy (His applications had already been rejected twice). Besides, Mateusz and his son Władek (though missing) were still sought after by strange people in long coats and hats on their heads. At last, after Stalin's death, Mateusz was persuaded to go to Cewice. He took a few pieces of furniture, the same chest and wicker basket and went to live with Tomasz on the upper floor. His children used to visit him from time to time, but the relations were

not easy. They blamed him for a wasted childhood and he did not deny it. He truly thought he could have done more, and looked at his own life as wasted and worthless. He saw nothing positive in it and nothing he could be proud of.

It was 1984. In his son's house, Wojciech's daughter was getting married. Among the guests there was an old and elegant man – the groom's uncle. He was a retired teacher from a secondary school in Poznań. He did not participate in the dancing. Years spent in Stalinist prisons had damaged his health. So he talked a little to people, he had a drink, and was carefully watching the bride's grandfather. He already knew that he was deaf, and saw how effectively he communicated with the family by lip-reading. He felt he should speak to him, so he asked the bride's brother to be a middleman.

- I have an impression that we have already met – he stated.
- I don't think so, I don't remember you, sir. – answered Mateusz looking at the man carefully. They exchanged glances, and after a while, the guest recognized the same clear eyes he saw while being imprisoned.
- I know! Weren't you in Lublin after the war? – he asked
- No, I have never been there! – Mateusz began to look for his walking stick to go up.
- It was you who threw fresh vegetables into cellars! I know it was you. I would recognize you anywhere. Do you know how many people survived thanks to your help?
- I don't remember anything like that! I didn't do anything like that!

Now, I'm going to have a rest. Excuse me., excuse me., Mateusz tried to squeeze through to reach the door.

- Only now I know why he never spoke to us... He could neither see nor hear us. But we thought he was afraid to talk to us – he said to the bride's brother who didn't understand anything, so the guest told him the whole story.

There are as many stories as there are people who came to Cewice after the war. All of them were ordinary men, deceived by the authorities and whose lives were destroyed. Humble heroes, not realizing it. They live, or have lived until recently, next to each other. There are also those who have had no such experiences. To which category of people belongs the person who wrote this letter?

26 February 1951

Siemirowice

T... P...

Siemirowice, Gm. Cewice

Pov. Lębork

To The President of National Council in Cewice

I am requesting you to give me a farm lying in the village Siemirowice, Gm. Cewice, belonging to T... W... covering 13, 12 hectares of land, including 9, 44 of arable farming.

The reason for my request is as follows:

I have a large family living on a too small area of land considering the number of residents. The arable farm I have is only 8,51 hectares

and this is only category V and VI, which means I have to buy bread every year. So I would like to take over the adjacent farm where now T... W... lives and does nothing to cultivate his farm and keep it profitable. If you grant his land to me, it will be cultivated while me and my family will make a living from it. And what is most important, the state will not have to grant investment loans. I am looking forward to your response, hoping that my request will be approved.

T... P...

For reasons of the economic development of the Polish People's Republic, the request was accepted.

Chapter III

Portrait of our fears

There are a number of mysteries never solved in our Gmina. People sometimes see a person, or rather a shadow of a person, wandering the field road in Pieski in the late evening. It may be the spirit of someone once hurt, or someone who did harm and now cannot find rest. The entity has neither limbs nor a head but only a glowing red light somewhere in the middle, which resembles the end of a burning cigarette. People see it moving along the field road and the up asphalt road to the road sign. The specter has been appearing since the war. People associate the phenomenon with that of a German soldier killed there in 1945 by Russians, who is alleged to have been laying there for a few days without any burial. Parts of his uniform and his clothes were scattered around him, while in his hand he was holding an unfinished cigarette. Those who encountered the specter avoid using the road, though people believe nothing bad can happen if you do not speak to it.

In the spring, when it is calm and quiet, one can hear a splash in the River Struga in Krępkowice, near the Świętopełk tree, exactly where the old mill used to stand. The splash resembles the sound of falling water on the rotating wheel. But the mill and the wheel ceased to exist a long

time ago. Some people believe it is miller Bogs who was murdered by Russians trying to mill the grain.

Some people claim they are observed while passing by the old cemetery in Łebunia. They instinctively hurry past, feeling the invisible watcher's eyes on their back. The phenomenon has been observed for at least fifty years, and it is told by the eldest in the village of Osowo, who used to go by the cemetery when returning from Łebunia. Nothing bad has ever happened to those passing by besides the feeling of heat or cold, depending on the way people responded to fear. Anyway, people use vehicles today, and nobody walks that way anymore.

An instance happened sometime around 1990 when a resident of Maszewo drove a woman home to Łebunia. She had been helping his wife bake a cake for a family ceremony. When they reached her house, she went off while the man returned home. He passed by the church and the roadside chestnuts and then accelerated to pass the cemetery as quickly as he could. While going by, a field stone hit the driver's door. From the noise he assumes the stone must have been heavy, at least two-kilogrammes. The impact was so strong that the car got swung as if from a sudden gust of wind. He instinctively looked at his watch, it was midnight. He didn't stop, but sped up. He thanked God the stone didn't hit the window. Believing that the car must have been damaged, he checked it in Osowo in a well-lit place. He stopped the car to see what had happened, but there was no sign of damage. The next day he checked the car in the garage to exclude the possibility of running over a rock. But everything was all right. The next time he happened to return from

Kartuzy through Łebunia, he chose the road through Cewice. He told the story to several people, and it turned out that others had experienced similar incidents, also at midnight.

These events cannot be explained rationally. One may presume that some ghost bears resentment towards drivers... but, why?

In the village of Pieski, near the paved road that runs upwards – from which people can see other neighboring villages and a small but charming lake – there is a place that draws people’s attention. There are ruins of old buildings covered with bushes – the grim basement windows sockets looking at the road – as well as a parking square for farming carts that was once bustling and crowded. The place is surrounded from both sides by two ponds, probably very deep since they have never been covered by algae. There was an inn which stood in the past, that belonged to Berthold Mushiell. The place was once very popular and always crowded with people. Despite the fact that the village was full of taverns where villagers could have a drink, here was where one could also do the shopping. In the large courtyard, in the shadows of towering trees, the owner put concrete water troughs so that visitors could tie and water their horses while they spent time drinking inside. The inn was located near the Polish border, therefore the traffic was greater than anywhere else in the village. The place was remembered for another attraction – Barthold’s beloved daughter – twenty-year-old Lily. She was his pride and joy – a merry, strong and hardworking person. She used to help her father with serving the guests. Some of them chose Barthold’s Inn only because of her, wanting to see his beautiful daughter. She

was admired by Polish boys from villages surrounding Skrzyszewo and Pałubice, and German men from Schimmerwitz Wald. They would stare at her while sitting in the inn. Even the local accordion busker played a song called 'Lilymarlen'. In 1945, when the war was ended, those boys who had been too young to participate in the war now loved to shoot the targets with a gun they found. It was the most fun to have a girl as a spectator. This is what was happening in the summer of 1945 in front of the Inn. Lily's brother and a Polish boy, whose adoration she seemed to reciprocate, were targeting a tree in the driveway. There were some other friends accompanying them along with the Polish boy's brother. They were taking turns shooting and all of them were failing to hit the target. Lily enjoyed the show, teasing one boy who had been boasting about being a skillful shooter.

- ☛ You are such a fine shooter that I wouldn't be afraid to stand as a target under that tree!
- ☛ It would be a shame if I hit you.
- ☛ But you can't. Shoot! Here I am!

He didn't try to target her, but the bullet went into her breast. Although she lived for a while after being transported to the hospital in Lębork, she eventually died.

On the day of her funeral, she was lying in the coffin in the room full of people. The candles were burning. The poor foolish boy who, with one stupid deed, destroyed the lives of the girl and his own, did not come. Her father appeared only for a while, looked at his daughter's face without shedding a tear, then left, disappearing forever. Nobody knew what

happened, where he went, whether he killed himself or took revenge. It is said that he was buried somewhere in the 'Big Forest' ('Duży Las'), but nobody knows the exact place of his burial.

A few days after the war ended, Lily's family left for Germany. For some reason, the house has never had new owners. Everyone moved out. People say that at dusk or late at night, one can encounter a young woman and a man walking the paved road. Both of them tend to look carefully at anyone passing by and then they disappear. There is no need to be afraid of them, I think. The one who shot Lily died a long time ago. He was heading back from a wedding ceremony, fell down and died. His brother was driving a cart shortly after that, and the vehicle overturned and crushed the driver's body. He died on the spot as well. There have been other strange incidents. For instance, travelers have experienced the loss of pressure in tires when driving that road, or a person who was going with a pig to the market early in the morning told how the wagon with the pig suddenly disconnected without explanation. It was near the inn. But all this could have happened by coincidence.

The place near the Maszewo wood, near the cross, where Ogródowa street begins, is haunted by ghosts. In the past it was a roadside hedge. Regularly trimmed, it used to protect the road against the snow. After World War II, the hedge was neglected and it transformed into woods consisting of gigantic beeches. Now it serves as a dating spot for young people who look for a calm and isolated place. Piles of empty bottles seem to have made the ghosts disappear, or perhaps they are still there, but hidden. What ghost would try to haunt a drunk teenager?

But at the time of seven-year primary schools, the place was indeed haunted. People saw white lights or shadows there. The unanimously claim to have seen a white figure. Although many people experienced the presence of the ghost, no ghost has ever been reported as aggressive. But people were afraid to go that way in the dark. It was a common practice that, when a person was coming back home late, someone had to go out to bring the person home. Usually they met in Maszewo holding flashlights.

In the early 1960's, Polish TV broadcast only one program. The transmission began about nine p.m., and children could watch the evening bedtime cartoon – 'Gaśka Balbinka' or 'Jacek and Agatka'. Then adults watched the news, a Russian production movie, and at about ten p.m. everybody went to bed. Only when the Russian Song Festival was transmitted from Zielona Góra did the program last until eleven p.m. There were only three TV sets in Maszewo. Two of them were owned by some residents (one in Ogrodowa street) while one was in the common room of the yeast factory near the library. All of these places were always crowded. People used to come early and find seats before the transmission started, so it was hard to find even a place to stand. Some people took their own chair with them to watch TV. Private homes were also full of guests, though these were usually family friends. A local postmaster used to watch TV every day at his friends in Ogrodowa street. Normally, he tried to be back home after the news, as he didn't want to impose himself on them or to pass the infamous wood late in the night, though he didn't believe in ghosts. Only sometimes did he watch half of the film. Once,

he fell asleep on a chair and when he woke up, it was completely dark outside. He had to go home whether he wanted to or not. When he was approaching the wood, he started to hum something to stop thinking. Suddenly, a white specter with dark eye sockets came out of the bushes. It was dark but it looked to him as if the figure was pulsing in its middle – expanding and contracting. The invisible eyes of the specter were watching the postmaster carefully, as if suggesting that no human presence is welcome. The man knew he had to leave the place as quickly as he could. So he ran like lightening, breaking the record in the 400 meters.

It would seem it was the last encounter with the ghost at the wood. But the incidents contributed to the appearance of more TV sets in Maszewo. The postmaster also bought one for himself. In this way the percentage of those who possessed TV increased by 25%.

Witold Broda

Some people's and places names have been intentionally changed.

Chapter IV

Portraits of Nature

Nature is the biggest asset of Cewice borough. Diversified land form as well as beautiful landscapes created by forests, lakes and rivers should be certainly immortalised in images.

Features of landscape, nature monuments, reservoirs full of fish and forests covered with rich undergrowth create a real heaven on earth.

Numerous lakes should attract some amateurs of water baths. Our biggest lakes are: Brody Lake in Krępkowice as well as lakes in Siemirowice, in Osów Lęborski and in Bukowina. Mainly, they are situated among forests far from traffic, which guarantees a rest in the bosom of nature far from civilisation. However, the most precious one is Jezioro Święte – one of the 160 Labelia Lakes in Poland. It is partly located in Cewice district in the south of Bukowina. The lake's surface is over 23 hectares and its maximum depth is 5 meters. Moreover, Jezioro Święte is surrounded by forests. Until 1 September 1939, the lake played a role of Polish – German border, which led to West along Kamiennickie Lake.

On the borough terrain, there are four rivers: Bukowina, Okalica, Sitnica, and Unieszynka. In terms of tourism, the first one is of the greatest

value. Thanks to a strong stream, numerous rapids and flinty bottom, Bukowina is categorised as a mountain river. For this reason, amateurs of canoeing perceive it as a challenge and try to shoot Bukowina's rapids during spring – autumn season. In autumn, in forests which pose around 60% of Cewice borough, the presence of mushroom pickers is intensified. In the north part of borough old tree stands predominate, mainly oaks and beeches, while in the south there are usually coniferous forests. Numerous species of forest animals such as wild boars, roe deers, foxes, raccoon dogs, grebes, pewits and snipes live here. There are a lot of nature monuments in Cewice borough but the most popular is a pedunculated oak "Świętopełk" near Krępkowice. Its age is estimated around 700 years. "Świętopełk" is the oldest stand in Pomerania and the sixth in terms of age in Poland. Its girth equals about 8 meters and its height equals about 20 meters. "Świętopełk" presents perfectly in late spring and in late summer when its crown is fully covered with thick and dense leaves.

Walking around an educational – natural pathway "Dąb Świętopełk", we may admire all its features. The pathway is about 900 metres long. On its trail, we will find out information boards presenting features of touristic places. Visitors, who would like to rest for a while and to observe surrounding nature, may sit down on special benches. One of the pathway functions is to educate society, especially children and teens about ecology. Moreover, it is a perfect place to organise science lessons. Near Krępkowice and around 400 metres away from "Świętopełk", there is another oak which age reaches 500 years. A well-known nature

monument is also oak alley in a manorial park in Cewice. In the alley 25 beeches grow, which age is estimated between 180 and 220 years. Dense tree crowns overshadow the place of rest where visitors can relax after a tough day.

In terms of nature, a massive and fruitful ivy (*Hedera helix*) is very precious. It wraps around a part of wall next to main entrance of a palatine – park area in Łebunia.

Half of the borough district is covered by nature conservancy in the context of Obszar Chronionego Krajobrazu [*Protected Landscape Area*] “Fragment Pradoliny Łeby i wzgórze morenowe na południe od Lęborka” [*A fragment of Łeba’s proglacial stream valley and moraine hills in the South of Lębork*]. The terrain is covered with forests of rich species range and diverse age structure. Charm of the landscape is even more catching thank to river gorges of Okalica, Sitnica and Unieszynka.

In borough borders, there are two areas of Natura 2000 network: Dolina Łupawy and Karwickie Źródlika. The second area contains of wildlife reserve named “Karwickie Źródlika”. It is situated in the south of forests’ border of Święte forestry. Moreover, certain areas of forests near Karwica with natural sources of Unieszynka are also a part of wildlife reserve. Rare species of biota are also placed here. A fragment of peat – bog with numerous watercourses and filled with alders, poses an attraction of reserve. Water flowing out of slopes filled with a hundred-year-old beech tree stand powers the river.

One of the borough’s tibits is “Diabelski Kamień” – a massive, erratic stone placed in the north of Maszew Lęborski, close to cart track to

Małoszyce. The stone raises out of the ground 1,5 meters high and its girth is about 12 meters. “Diabelski Kamień” is one of the biggest stones in Lębork district. It stands out because of the claret – cherry red taint and this is why it is often called “Czerwony Kamień” [*Red Stone*].

Chapter V

Portraits of our culture, folklore and tradition

Our borough is known not only because of beautiful landscapes, but also it is considered as the most Kashubian region of Lębork district. There is a diversity of culture, national and ethnic groups. During World War II, borough terrain was out of Poland borders and this is why nowadays society is of different origins. We will meet here Kashubs as well as German and Ukrainian minorities. Because of the location in Kashubian Lake District (Pojezierze Kaszubskie), some percentage of society belongs to Kashubs, which means that folklore and traditions are still alive. Kashubs care of their mother tongue a lot. Some of them were taught Kashubian language at school and it was used to communicate at home. Kashubs claim that young generation should learn Kashubian in order to assure its longevity. This is why, Kashubian language has been implemented in all elementary schools in our borough and in Junior High School in Bukowina. During Kashubian lessons, students also learn about Kashubian history, culture, customs and folklore. Children and youths have a possibility to take part in an annual contest „Rodnô

Mòwa” organised by Gminne Centrum Kultury in Cewice. Contests in the fields of Kaszuby, Kashubian customs, traditions and folklore are also carried. Kashubs may share information about their interesting feast customs and everyday life. Some of them are practised even today. On January 6 the Three Wise Men visit homes. They are usually children and youths in customs who sing carols acting in a Nativity play. In response, they get sweets and money from hosts.

These days, Shrovetide celebrated before Ash Wednesday is also a very popular feast. On that day, people go out partying, dancing, eating and drinking until midnight. Next until the end of Lent, there are no parties organised. Some customs related to Easter are also practised. The most popular custom is Śmigus – Dyngus celebrated on Easter Monday. On that day, boys whip the girls’ legs with Juniper’s twigs.

Maintained tradition is also Sobótka celebrated a day before St. John feast, which is on June 23. Persistent element of Midsummer Night is a bonfire around which people party and lay their coronets with lighted candles in a lake or in a river.

For Kashubs an important celebration was also Lammas Day celebrated in order to thank God for harvest and to thank farmers for their hard work. Due to Lammas Day, there were organised buzzing parties in which all residents participated. We celebrate the feast event also today but its character has changed. Demotic custom has taken a form of feast organised by municipality.

Kashubs have also possessed interesting customs related to family life: pairing, matchmaking, marriage and wedding. However, these

days we do not celebrate them anymore. Customs which have survived are connected with death and funerals since a memory of the dead is a very important issue for Kashubs. They wanted their relatives to reconcile with God and other people. This is why, they arranged meetings between their dying relatives and people they were in bad relations with. Kashubs visited them before funeral because they believed that the dead might feel their presence. For this reason, so called “puste noce” were organised a day before a funeral. Relatives, friends and neighbours of the dead were invited for “pusta noc”. All the invited people gathered at home in the evening. Visitors first came into a room with a coffin in order to pray for the dead’s soul. Next, they gathered in another room to dine together, pray and sing. In the meantime, they talked about the dead and his life. Everyone returned his home in the morning. However, we could still observe “puste noce” in our borough few years ago. Now, when the dead lies in a funeral home or in a chapel, “puste noce” are organised very rarely.

The use of snuff, which is powdered tobacco, is a still practised custom in our borough. This typical Kashubian drug, which is sniffed by nose, was used by both men and women. Few years ago in Cewice, there was organised a party called “Kaszubskie Tabaczenie” during which a master of tobacco was chosen. Kashubs are hard – working and serious people but they also like having fun. Occassions to have fun are not only Shrovetide, Sobótki or Lammas Day, but also parties organised in order to preserve Kashubian folklore. One of these events is “Biesiada Kaszubska”, which has been held in Popów for a few years. During banquet, there

are shows of Kashubian bands, interesting plays and traditional meals. An event attracts residents and tourists.

Popowo is one of the most Kashubian cottages in our borough, in which we may notice a strong connection with Kashubian tradition and folklore. In initiative of local association, a Kashubian plaza has been created here. The chapel with a replica of Matka Boska Sianowska figure is situated there.

In Popów school, there is the only one regional educational chamber, which was set thanks to resident's gifts. In the chamber, you may see an interesting collection of objects characteristic to Kashubian region. They are objects that were used at homes and at farms in the past.

Another cottage of tight Kashubian traditions is Bukowina. In a regional church, there is the Way of the Cross connected with Kashubian singing and in a school – kindergarten panel there is children choir, which presents for instance Kashubian chansons. There are also organised parties promoting Kashubian traditions such as “Bukowińskie zapusty”. The party is organised on the last Sunday of carnival by residents and “Rozwój Bukowiny” Association's members. Program usually includes Kashubian customs and music presented by local choirs and invited artists. Besides a listenable music, an audience may enjoy a traditional, Kashubian treats.

The broachers of Kashubian folklore are also folk bands Mareszki and Skrzaty. The folk band Mareszki was founded in 1989 and its membership was initially created by Koło Gospodyń Wiejskich from Cewice district. The Kashubian name of band means “Marysie”. Marysia was a name of

all members singing in a first band. In a rich repertoire, we will find a collection of Kashubian chansons and carols. An inspiration for them is a songbook of pr. Antoni Pepliński and Jan Trepczyk. Although the main aim of Mareszki is to promote Kashubian folklore, they also sing national folk songs, as well as chansons in Esperanto and in German. A very important date in band's history was June 1999. During a visit of John Paul II in Sopot, Mareszki were in a choir of 1000 members acting during a Mass on Hipodrom. That performance was very soul – stirring for our ladies and it fell into their memories. Mareszki with a great commitment, popularise Kashubian folklore at national festivals, previews and contests. They also managed to promote Kashubian region out of Poland. During their travels, traditional Kashubian chansons could hear citizens of Lithuania, Latvia, Ukraine, Hungary, Germany, Luxemburg, Belgium, France, the Netherlands, Slovakia, Bulgaria, Serbia, Croatia and Turkey.

Since 2007, a regional children – teen band Skrzaty have been accompanying Mareszki. Skrzaty were founded in 2001. Its originator and manager is Ms Katarzyna Cybula, whose mum is a member of Mareszki. Since the start date, Skrzaty have undergone a real metamorphosis. Initially, there were only girls but in 2006 also boys joined the band.

Currently, the band counts 20 members: children, youths, students, and workers. Skrzaty sing and dance with the help from traditional, Kashubian backup: accordion, violin, burczybas (Kashubian instrument). In Skrzat's repertoire, we will find out dance styles, Kashubian chansons, prose and Kashubian poetry.

Chapter VI

Portraits of Kashubian cuisine – what is eaten and drank in Cewice borough

Traditional food is a heritage handed down from one generation into another. Due to Cewice district placement, Kashubian traditional meals are the most popular and they are prepared at homes. In a traditional cuisine, we use the wealth of forests, lakes, orchards, meadows and fields.

An elementary ingredient of Kashubian cuisine is potato because due to weak and sandy soils, it was easy to cultivate. Potatoes were eaten almost every day in a different variations: boiled, in uniforms, as an addition to soups and meat or as fried potato cakes. Even now, in many homes and Cewice areas we may try plince and pulki.

Plince are potato cakes made from grated potatoes and fried on a frying pan. They are a very tasty and nutritious dish served as a main course or as a snack during a day. The recipe is very easy: grate raw potatoes, squeeze the juice, mix with flour and egg, add salt and fry on a hot oil. Plince should be thin and crunchy. Serve them with sugar, dairy cream or honey.

Pulki – potatoes boiled in uniforms – are also very popular. They are usually served with herrings. It is a typical, Kashubian fasting meal served on Fridays. Pulki are also tasty when served with bonnyclabber or buttermilk.

In traditional Kashubian cuisine, we may also find out interesting recipes for meat dishes. One of Kashubian delicacies is raw, White Sausage made from selected beef and pork mixed with natural seasons such as garlic, marjoram, black and white pepper and salt. In the past, white sausage was made at home for Christmas and especially for Easter. It was an obligatory dish at wealthy, cottage home. Although these days we do not prepare it at home any more, it is still a king on our tables in Easter.

Due to pigsticking, Kashubian hostesses made lard from a fresh pork fat since it was a provision must – have. In each larder, there was a stony pot with lard and pork scratchings. Cewice hostesses still prepare lard according to an old recipe: melt finely chopped pork fat on a saucepan on low heat, add chopped onion in an appropriate moment, when pork scratchings are getting gold, the a saucepan out of the heat, add pepper and salt. Today, we can taste a fresh, cottage bread with a delicious lard, pork scratchings and gherkin on local festivals.

Soups in Kashubian cuisine were very rich and filling. Dependently on seasons, products from fields, gardens and forests were used. To prepare a soup we needed meat, variety meats, bones, fish and fruit adding milk, buttermilk or cream produced on a farm. Today, we may taste fasting soup “zupa brzadowa”. Although its name sounds mysterious, it is a traditional, fasting soup made of dried fruit: pears, apples, plums and

cherries. To prepare it, we need dried fruit, flour, sugar, salt, tiny noodles, milk or cream. Zupa brzadowa is a traditional Kashubian fasting dish. Children love it because of sweet taste.

Kashub ia also a region abound in tasty fruit and aromatic herbs, which are basic ingredients of liqueurs. The recipe is easy: pour fruit with spirit, few weeks later sweeten the juice, mix, pour into the bottles, block with cork and leave for few months in a dark and chilly place. The most popular liqueurs are made of charries, quince, rowan, wild rose and pine cones. They cure many afflictions and are an attribute of social events.

Although fruit is used to prepare liqueurs, preserves, compote and jam, there is another alternative. One of our residents, Ms Zofia Smardz from Krępkowice, is famous for preparing hot apple mustard. Everyone who tastes it, falls in love with it. Hot apple mustard ia a perfect addition to dishes. An idea to prepare an apple mustard came to Ms Zofia's mind when she wanted to use apples, which she grow in her orchard. To prepare it we need apples, sugar, garlic, chili and ginger. There are a lot of mustard lovers. The product was in a first place in a contest called "Certyfikat Marki Zielone Serce Pomorza" in 2012.

Justyna Woźniak

Bibliography:

Dołowy Nicole, *Kaszubi z Pomorza*, Gdynia, Wydawnictwo REGION & Nicole Dołowy-Rybińska, 2010, ISBN 978-83-7591-080-3

Gulgowski Izidor, *Kaszubi*, Wyd. II, Gdynia, Wydawnictwo REGION, 2009, ISBN 978-83-7591-053-7

Obracht-Prondzyński Cezary, *KASZUBI DZISIAJ. Kultura – język – tożsamość*, Gdańsk, Wydawnictwo „Bernardinum”, 2007, ISBN 978-83-89079-78-7

Sources:

Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi, <http://www.minrol.gov.pl/Jakosc-zywnosci/Produkty-regionalne-i-tradycyjne/Lista-produktow-tradycyjnych/woj.-pomorskie>